

STAŁO SIĘ JUTRO

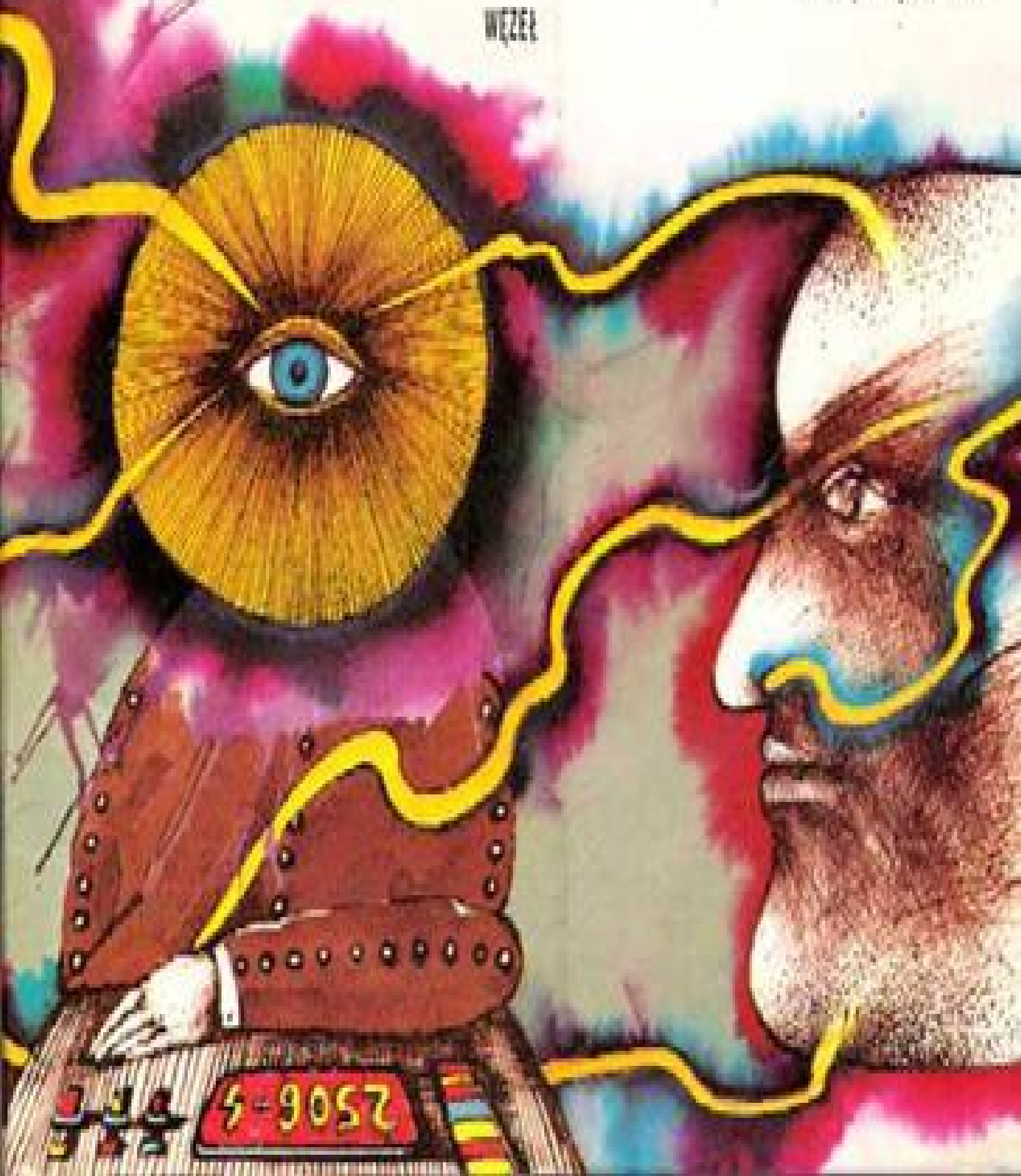
opowiadał fantastyczny
zbiór dwadzieścia pięć

Gabriela Górka — Zatrute morze

— Węzeł

— Pamiętnik pradziadka

WĘZEŁ



Stało się jutro

Węzeł

Opowiadań fantastycznych zbiór dwudziesty piąty

Gabriela Górska

Zatrute morze

— To ryzykowna sprawa.

— Wiem.

Odsiew może być duży. Zbyt wiele elementów niemożliwych do przewidzenia. Zupełnie przypadkowych.

— Inaczej nie da się zrobić. Kreatorem psychiki musi być inna osobowość. Matrycę animacyjną trzeba każdorazowo zaczerpnąć z prądów mózgu i tylko mózg — myślący — może stać się katalizatorem, dać bodziec, rozpoczynając cały proces...

Wzniesiony ponad plażą rozległy taras kawiarni od godziny znajdował się w pełnym słońcu; pasiaste parasole nakrywały stoliki skąpymi plamami cienia, który nie zachował już ani odrobiny porannego chłodu. Chłopiec pocił się w trykotowej koszulce; nieruchomy na swoim, zbyt niskim dla ośmioletniego dziecka, lekkim, biało lakierowanym kawiarnianym krzeselku, sztywno wyprostowany nad porcją nietkniętych lodów, tkwił jakby w zawieszeniu pomiędzy dwoma głosami: napiętym, histerycznie wysokim głosem matki, a obojętnym, znużonym — ojca, rozlegającymi się na przemian w dusznym i rozprężonym powietrzu. Nie słuchał, co mówili; być może w jakiejś chwili zrozumiał, że — tak naprawdę — słowa nie mają tu żadnego znaczenia, że liczą się tylko głosy: nieprzyjazne, skłócone, budujące wokół tych dwojga niewidoczny, a przecież niemożliwy do przebycia mur. Chciało mu się płakać i nie wiedział dlaczego, jak nie pojmował, skąd biorą się wciąż na nowo te łzy — jeszcze nie w oczach, jeszcze jak gdyby w gardle, zaciskając je tak, jakby utkwiała tam jedna z jego twardych i gładkich, szklanych kulek do gry. Odwrócił głowę i zaczął patrzeć na oddzielone ścianą plexiterralu morze. Nieruchome, nie pomarszczone nawet przybrzeżną falą, wyglądało jak ciemnobłękitna płyta, czasami tylko odbijająca niespodziewane lśnienia, ostre jak igły wypływające na jej gładką powierzchnię z mroku niewidocznego dna. Chłopiec nigdy jeszcze nie widział morza; odsunął się od stołu, przewiesił całym ciałem przez metalową barierkę i — czując rozgrzany metal przyciśniętym doń brzuchem, parzący nawet przez materiał koszulki — patrzył i patrzył, aż owe dalekie lśnienia zaczęły roztopiać się i rozmazywać, gdy wreszcie uległ, pozwalając łzom zbierać się pomiędzy powiekami szeroko otwartych oczu (pamiętał, że jest już duży i że to wstyd tak się mazać, więc chciał, żeby łzy nie zaczęły mu kapać i żeby tamci — wciąż oddzieleni, osobni za murem swojej rozmowy, nie mogli tych łez zobaczyć).

— Patrz, co on znów wyprawia. Vaine, nie wychylaj się, spadniesz! Vaine, czy słyszysz? Och, on jest coraz bardziej nieznośny! Tak samo zamknięty w sobie i uparty jak ty!

— Może nie byłby taki, gdyby miał matkę, którą obchodzi coś jeszcze poza konkursami belonga, kli–kli–kli–terkiem i quizem w stereowizji!

— Vaine, słyszałeś chyba, co się mówi do ciebie? Chłopiec przestał przyglądać się wodzie, wyprostował się, usiadł. Przez chwilę jeszcze widział niezbyt wyraźnie te dwie gniewne twarze; roztopiały się we mgle. Siedząc sztywno pod ich podejrzliwymi spojrzeniami, przełykając nerwowo ślinę, pomyślał, że wcale go nie lubią, nie lubią już od dawna, że nie jest im potrzebny — żadnemu z

nich. Twarda kulka wróciła, znów czuł ją w gardle; żeby się nie rozplakać, zacisnął ręce na brzegu stołu (zaciśnięte, zaraz zaczęły mu się pocić), odchylił się na krzesło i zaczął bujać na jego dwóch nogach. Wiedział, że żadne z nich nie może na to patrzeć, i nie rozumiał, po co to robi, skoro chce tylko, żeby przestali zwracać na niego uwagę i zajęli się sobą, choćby nawet to, co robili, miało być dalszym ciągiem ich nigdy nie kończącej się kłótni. Ale nie mógł inaczej, coś pchało go do tego, żeby sprzeciwić się wszystkim — nawet samemu sobie. Kiedy próbował zastanowić się, dlaczego tak z nim jest, skądś — może znad ściany plexiterralu, znad odległego morza — nadleciał wąty powiew, przejął go chłodem, przyglądził zwilgotniały wicherek jasnych włosów.

— Przestań się wreszcie kręcić z tym krzesłem, Vaine. I nie patrz tak na mnie! Boże, jakie nieinteligentne spojrzenie ma czasami to dziecko! Mógłbyś raz w życiu zająć się twoim synem, Nearht, pójść z nim do psychoneurologii... On jest co najmniej dziwny... Ale ciebie to nie obchodzi, jak zresztą wszystko... Jedz lody. Vaine, nie podsłuchuj.

Od dawna roztopione, mdłą, rzadką papką wypełniały koliste zagłębienie pucharka — nie musiał nawet patrzeć na jego zawartość, by wiedzieć, że nie przejdzie mu ona przez gardło. Ze spuszczoną głową, grzebiąc bez przekonania w biało-różowej brei, powiedział — po raz trzeci już tego dnia:

— Ja chciałbym iść na plażę.

Tym razem nie mogli już udawać, że tego nie słyszą.

Wymienili spojrzenia, jak gdyby każde z nich chciało zmusić do odpowiedzi to drugie. Matka załamała się pierwsza:

— Co za bzdury! Nie pójdziesz! Wiesz dobrze, że plaża nie jest do chodzenia.

— Mogłem chodzić nad wodę w zeszłym roku, a przecież byłem mniejszy. O cały ten rok.

— Ale to było jezioro, nie morze, Vaine. Nikt, żaden człowiek, nie zbliża się do morza.

— Dlaczego?

Na to pytanie nie było odpowiedzi; wiedział, że jej nie będzie, zanim je zadał. Nikt nie chciał mu powiedzieć, czemu nie wolno pływać, kąpać się i podchodzić do morza. Odwrócił głowę i wpatrzył się w nie znowu: odległe, gładkie, wybruszało się czasem łagodną, senną falą; pomyślał, że jest żywe i że oddycha — jak jakieś wielkie zwierzę. Zwierzę widocznie groźne, skoro dorośli bali się go tak bardzo, że aż bawili się sami z sobą w ową lękliwą zabawę — nie zabawę, jaką on kiedyś wynalazł sobie, gdy przerażała go ciemność: natychmiast po zgaszeniu lampy zamykał oczy starając się uwierzyć, że wcale ciemno nie jest i — gdy uchyli powiek — zobaczy zaraz światło. Oni, dorośli, robili coś, co było bardzo podobne do tego jego oszustwa: udawali, że morza nie ma, starali się nie patrzeć, nie widzieć, że ono jednak jest. W każdej minucie zachowywali się tak, jak gdyby połyskliwa woda, ciągnąca się po horyzont, była holowizyjnym obrazem, znikającym natychmiast po naciśnięciu włącznika. A nawet jakby liczyła się jeszcze mniej: o holozłudach mówili przecież czasem, chwalili jedne, krytykowali drugie, zazdrościli sąsiadom, którym udało się wyszperać coś całkiem specjalnego, czego w swoich zestawach nie miał dotychczas nikt. Próbował to zrozumieć, ale nie udawało się, nie mógł. Więc pogodził się z myślą, że to jest jeszcze jedna z tych rzeczy zbyt trudnych dla ośmioletniego chłopca — jak zasada działania mikromaksu, pilotowanie grawistatu albo wykresy ojca; jedna z tych spraw, o jakich starsi mówią: „zrozumiesz, jak dorośniesz”.

Upał wzrósł jeszcze, powietrze drgało od żaru. Siedzący wokół ludzie skupiali się przy stolikach, by zmieścić się w cieniu parasoli; ich twarze w rozproszonym, łagodnym świetle sącącym się przez napięty plastik były zielone, żółte, czerwone i granatowe — zależnie od koloru pasów, jakie mieli nad sobą. Odwróćni plecami od plaży i od morza, wygodnie rozłożeni w lekkich, wyplatanych fotelach, patrzyli z wysokości tarasu na wczasowe miasteczko: kolorowe skwery i wesołe ulice, białe domy w glicyniach, kapryfolum w słońcu, barwne, trójkątne flagi powiewające na

rozciągniętych między drzewami sznurach: tylko nieliczni z nich pamiętali, że owe szmatki nawiązują do okrętowej gali z czasów, gdy statki mogły poruszać się po morzach. Płacili za ten widok, za spędzenie urlopu w wytwornym uzdrowisku, które od nowa stało się teraz modne — być może właśnie przez swą bezużyteczność cenniejsze, niż było w czasach beztroskich małych żaglówek, katamaranów kołyszących się na niewielkiej fali, kabin i koszy plażowych schodzących aż nad wodę. Płacili — więc chcieli się napatrzeć: szerokim promenadom, gałęziom lip zwieszającym się nisko nad miękącym w upale asfaltem grawistrad, stalowym mostkom wspinającym się srebrno w jasnoniebieskie niebo, stylowym domkom, kioskom z cukrową watą i zawijaną w różowe serwetki z polipieru vitalą. To wszystko tworzyło atmosferę beztroski, odprężenia. A oni chcieli odpocząć. I zabawić się lepiej, niż bawili się we wszystkie inne dni; spróbować nowych gier i rozrywek, wziąć udział w nieznanym quizach, sprawdzić swoją zręczność na innych automatach. Nawet teraz, pomimo rosnącego upału, kilka osób poszturchiwało ogromne, gumowe śmiecho—stwory zanoszące się chichotliwym, udzielającym się natychmiast każdemu rechotem, od których roło się na ulicach; kilka innych próbowało wmieszać się w przeciągający promenadą krzykliwie kolorowy korowód animatorów i sterowanych masek. Tu, na tarasie, parę osób ospale targało czerwone rączki brzęczących, migających światłami automatów; oczy leniwie śledziły rozżarzanie się świateł, szczęki żuły miarowo kolejną porcję gum—glonu. Nawet ci, którzy znużeni spoczywali nieruchomo w fotelach, potrzęsali co chwila pałeczkami jangh—kionga, w kolorowych sześcianach grzechotały kostki kli—kli—kli—terka, po blatach stołów toczyły się, uderzając o siebie z suchym trzaskiem, szklane kulki do gry. Nad wszystkim unosił się — nastrój beztroski, zabawy, odprężenia, podniecający jak zasady nowej, jeszcze do końca nie poznanej gry. Czasami ktoś się zaśmiał, czasem — wysokim, czystym dźwiękiem — odezwało się potrącone szkło.

Pies zjawił się jakby znikąd, jakby wyrósł spod ziemi, od razu skupiając na sobie uwagę wszystkich: stał na środku tarasu, w miejscu gdzie prześwit słońca między parasolami był największy. Vaine popatrzył także: pies był duży i żółty, z ciemniejszą sierścią na karku i wzdłuż grzbietu. Vaine pomyślał, że to jest ładny pies i że chciałby takiego mieć, gdyby tylko rodzice mu na to pozwolili. Nie było w nim nic dziwnego, więc chłopiec nie mógł pojąć, dlaczego nagle umilkło grzechotanie kli—kli—kli—terka, trzask automatów i chichoty potrącanych przez ludzi śmiecho—stworów. Potem zobaczył: z pochylonego ku ziemi psiego pyska kapąła krew. Ciemnoczerwone, rozprysnięte gwiazdźście plamy znaczyły ślad od schodów przez białe płyty tarasu, łeb psa zwieszał się coraz niżej, kałuża krwi rosła, rozlewała się coraz to większą plamą. W głębokiej ciszy przeraźliwie ostro rozległ się trzask upuszczonej przez kogoś kulki i szklany odgłos toczenia się jej po kamieniach. Vaine drgnął, obejrzał się, ale kulki nie dostrzegł; kiedy znów zwrócił oczy na psa, zobaczył, że jego łapy zaczynają rozjeżdżać się powoli, jak gdyby jakaś siła, jakaś olbrzymia pięść przyciskała grzbiet zwierzęcia do ziemi. W tej samej chwili wielkie, masywne dało targnęło się spazmatycznie — skurcz szarpnął je, wykręcił — pies, dławiąc się i krztusząc, zaczął zrzucać gęstą, żółtawą pianę. A potem, nagle, zmieknął jak zabawka, do której przestał dopływać prąd; zwiotczyły, jakby pod skórą nie było wcale kości, upadł na białe płyty; łapy drgały kurczowo, całym ciałem wstrząsały potworne dreszcze.

— Nie patrz na to, Vaine, nie patrz! — gwałtownie uniesiony z krzeselka chłopiec poczuł znajomy zapach; całą skórą twarzy przyciśniętej do twardej, szerokiej piersi czuł śliską gładkość koszuli ojca; nie widział teraz już nic, słyszał tylko — ponad głową — głos: podniesiony, chrypnący, pełen złości:

— Do diabła, kto wpuścił tu tego psa? To ma być lokal kategorii QX! Zabierzcie stąd to cholerne ścierwo! Przez chwilę była zupełna cisza, tylko serce — ojca, czy jego własne? — łomotało

rozgłośnię. A potem Vaine usłyszał, że ojciec mówi znowu — tym razem już zupełnie cicho, tylko jakimś zduszonym głosem, martwym, bezdźwięcznym i chyba właśnie dlatego bardziej przerażającym niż krzyk:

— I ty chcesz, żeby nic mu nie mówić! Chcesz, żeby nic nie wiedział, niczego nie rozumiał... Czy do tej twojej głowy, do twego mózdzku, w którym jest tyle miejsca, co na pionki belonga, nie doszło jeszcze, że wtedy on... on może... tak jak ten pies...?

Vaine nic nie rozumiał. Pewnie właśnie dlatego — a nie tylko ze strachu — nareszcie się rozpłakał. Płakał coraz głośniej, nie mógł się uspokoić. Wszystko było takie skomplikowane: ojciec i matka, ich kłótnie i to, że Vaine'a nie umieli już lubić — a teraz, nagle, ojciec zrobił się taki dobry dla niego, chociaż krzyczał i kłął. I jeszcze: bardzo żał było mu tego psa.

— Są takie owady, które składają jajka w ciałach innych, żyjących istot. Często: słabych, czy chorych. Pasożytując... czerpią siły ze swoich nosicieli.

— Czasami także składają je w ich ścierwie.

— Nie. My potrzebujemy żywych.

— Rozumiem... To miała być analogia. Czy... te owady... także nie mogą rozmnażać się w inny sposób?

— Nie. Ich istnienie uzależnione jest całkowicie od istnienia owych nosicieli;

— A zatem analogia jest pełna. Z jednym małym wyjątkiem. Niestety, zasadniczym; jeżeli dobrze rozumiem — tym owadom nie jest potrzebna... dobra wola czy zgoda stworzeń, na których pasożytują...

Kiedy się zbudził, leżał przez chwilę bez ruchu, patrząc w sufit, po którym przesuwaly się plamy światła — przesiane przez liście krzewów rosnących tuż za oknem, rozedrgane, niespokojne „zajączki”. Potem przypomniał sobie, dlaczego dziś chciał wstać wcześniej: ojciec miał mu opowiedzieć o morzu. Nawet tu, gdzie nie mógł widzieć niebiesko-białej tafli i gdzie nie dochodził jednostajny, niegłośny szum — ciekawiło, urzekało nieznaną tajemnicą ukrytą w jego głębi;

Vaine usiadł, poszukał koło siebie spodenek. Naciągnął je i — już ubrany — ostrożnie podszedł do drzwi; nasłuchiwał. Była cisza. Z nagłą nadzieją pomyślał, że może dzisiaj „oni” nie będą się kłócić.

W łazience przyjrzał się sobie krytycznie — bawełniana koszulka była bardzo wymięta (zapomniał zdjąć ją do snu), na przedzie ciemniała brzydka, duża plama od lodów. Odkręcił kran, umoczył koniec ręcznika, chwilę próbował zetrzeć nim zacieki; osiągnął tylko tyle, że plama powiększyła się jeszcze, rozpełzła na cały przód koszulki. Za to teraz wydawała się trochę bledsza. Wytarł ręce w wilgotny ręcznik, sięgnął po ciężką, włosianą szczotkę ojca (była ogromnie stara, już nie robiło się takich), dokładnie, ze skupieniem, przyglądał nią wicherki jasnych włosów. Uznał, że jest gotów.

W hallu, przed drzwiami do pokoju rodziców, zatrzymał się na chwilę; przez drzwi dochodziły głosy, czasem niezrozumiałe, unoszące się w kłótliwym crescendo; zacisnął palce, prosząc „ich” w myślach, starając się jak gdyby zaczarować ich tym proszeniem, żeby dziś — chociażby tylko dziś — spróbowali być dla siebie i dla niego mili. Ale to nie pomogło, głosy — podrażnione, zawzięte — nie ścichły za zamkniętymi drzwiami. Zapukał i gdy doszedł go wysoki, ostry głos matki wołający „wejdz”, nacisnął wysoko umieszczoną, staroświecką klamkę. Siedziała na krzeselku przed lustrem, szczotkując włosy: jasne i długie pasma trzeszczały sucho pod igiełkami masującego je prądu, szarpnięciem odsuwała wówczas stożkowaty ryjek aparatu; znów była zła. Na chwilę odwróciła od lustra oczy, które wydawały się jeszcze jaśniejsze niż zwykle pod niedokładnie zmytym, rozmazanym

przez noc makijażem, popatrzyła na niego nieżyczliwie.

— O Boże, jak ty wyglądasz. Coś ty wyprawiał z tą koszulką, Vaine? Wygląda, jakbyś wycierał nią podłogi. Obiema dłońmi spróbował wygładzić załamania, ale nic z tego nie wyszło. Pod jej karcącym, niechętnym spojrzeniem przestąpił z nogi na nogę; poczuł się brzydki i śmieszny.

— Zapomniałeś mówić od wczoraj, tak? Co się mówi wchodząc do kogoś rano?

Przecież wiedział, a stał bez słowa, ciągle przestępując z nogi na nogę. Był chyba jednak głupi (mówiła to tak często!) — nie, nie mogłaby kochać kogoś takiego jak on... Ojciec popatrzył na niego teraz także, tyle że nic nie powiedział. Stał pod oknem jednym ramieniem wspierając się o framugę — poranne, zielonkawe światło przesączone przez liście ślizgało się po nie ogolonym policzku; wyglądał staro, znacznie starzej od matki, choć wcale starszy nie był.

— Idźcie stąd — powiedziała, na moment wyłączając aparat. — Zróbcie sobie śniadanie albo zajmijcie się czymś obaj. Nie stójcie tu i nie patrzcie. Czy w tym domu człowiek nie może być choć przez chwilę sam, mieć odrobiny spokoju?

Chyba znowu rozbolała ją głowa — w pokoju wisiał ciężki zapach wystygłego dymu papierosów z kelihuany, nie pomagały nawet otwarte na oścież okna. Na stole, parapecie i jeszcze w kilku miejscach stały popielniczki wypełnione po brzegi niedopałkami, kieliszki z resztką nie dopitego gloniaku — pewnie znów długo w noc przyjmowali gości, pewnie, jak zwykle, długo grała w belonga.

— Chodź.

Ojciec oderwał się od futryny, podszedł. Vaine pomyślał, że mógłby — choć raz, choć czasami — wziąć go za rękę. Ale ojciec wyminął go, podszedł do drzwi nie oglądając się, czy chłopiec idzie za nim. Miał znowu swój zwykły, niechętny wyraz twarzy, cienkie rysy skrzywiły się w wyrazie wzgardliwego znużenia; wyglądał, jakby miał zaraz powiedzieć: „i znowu się zaczyna”.

— Jadłeś coś?

— Nie.

W kuchni też było widać ślady ubiegłego wieczora: spiętrzone talerzyki, których nawet nikomu nie chciało się włożyć w klosz zmywo-maszyny, polipierowe kubeczki z jakąś brunatną masą, resztki sałatki z cierpkich, marsjańskich glonów. Ojciec rozejrzał się po tym wszystkim bezradnie.

— Weź sobie coś do jedzenia — powiedział bez przekonania. — I idź się bawić. Widzisz przecież, że matka i ja, oboje, jesteśmy bardzo zmęczeni.

— Miałeś mi opowiedzieć o morzu — przypomniał Vaine. — Obiecałeś.

— Jakoś wcale sobie tego nie przypominam.

— Ależ tak — zapewnił Vaine gorąco. — Uczciwe słowo kosmity, tato, obiecałeś... — miał nadzieję, że ojciec się uśmiechnie; tym dawno zapomnianym zwrotem, który kiedyś stanowił pomiędzy nimi znak-klucz, przypomnieniem od dawna zaniebanych zabaw próbował przywołać ten zapomniany uśmiech. Ale wyraz znudzenia, powściąganego z trudem zniecierpliwienia pogłębił się tylko. — Powiedziałaś, że wytłumaczysz mi wszystko, że mi opowiesz. Wtedy, kiedy ten pies tam zdechł. Powiedziałaś, że opowiesz mi wszystko. Żebym zrozumiał. Żebym już wiedział, dlaczego nie wolno mi się zbliżać do morza.

— Dlatego, że tak ci kazaliśmy — matka i ja... Zobaczył widocznie w twarzy Vaine'a przekorę i upór równe jego własnym, bo całkiem niespodziewanie zaczął jednakże mówić:

— Bo morska woda zabija. Samym zetknięciem, chociażby przypadkowym, choćby nie dłuższym niż trwające sekundę zanurzenie w niej rąk. Rozumiesz? Zabija nieodwołalnie każdego, kto był dość nierozważny, by się do niej przybliżyć. Jak tego psa. Psy nie zawsze są mądre, nie zawsze wyczuwają... Widocznie biegał po plaży, podszedł za blisko brzegu... może dosięgła go fala, a może

bryzgi wody niesionej wiatrem... Ludzie strzegą się morza, ty także musisz wystrzegać się go. Vaine...

Urwał, może dlatego, że dostrzegł oczy chłopca: zogromniałe i przerażone. Vaine zacisnął rączki, wykrztusił:

— Woda... zabija? Jak to możliwe, tato? Dlaczego?

Gdyby był starszy, poznawałby — ze szkolnych podręczników — historię zatrucia morza, wszystkich na całej Ziemi mórz i oceanów; ta wiedza przychodziłaby powoli, etapami, nie przerażając go tak, jak przerażała teraz, kiedy słuchał nie zawsze rozumiałych słów ojca, dowiadując się naraz więcej, niż chciał, więcej, niż ośmioletni chłopiec powinien wiedzieć o jednym z bardziej obłądnych okresów w dziejach ludzkości. Poznawał go od pierwszych, dokonywanych jeszcze w dwudziestym wieku, podwodnych prób nuklearnych, aż po trzydzieste lata ubiegłego stulecia, kiedy, po ostatecznym ratyfikowaniu przez wszystkie państwa konwencji o zaniechaniu naziemnych wybuchów bomb morza stały się terenem eskalacji zbrojeń. Potem, podczas ostatniej z wojen — Podwodnej Nuklearnej — przez cały czas jej działań były terenem walki, w której nie liczone się z niczym, poza — własną i cudzą — umiejętnością przez polityków i demagogów rozpalaną, ślepa, morderczą, zawziętą nienawiścią. I były nim tak długo, dopóki woda — nasycona cząstkami trujących substancji i zabójczym promieniowaniem, rozdzielana podwodnymi wybuchami rakiet dalekiego i bliskiego zasięgu, bomb kobaltowych, neutronowych i Głowic Specjalnego Rażenia — nie zaczęła zabijać walczących w jej głębinach i na powierzchni ludzi, zmuszając przeciwników do podpisania pokoju, który — wobec wytrucia prawie wszystkich żołnierzy wrogich armii i uniemożliwienia wydobycia całego posiadanego przez ludzkość, zgromadzonego w morzach bojowego sprzętu — był po prostu kapitulacją obydwu walczących stron. O tym wszystkim Vaine nie wiedział dotąd, tak samo, jak nie słyszał o trwającym pół wieku Wielkim Kryzysie będącym wynikiem wojny; okresie, w którym borykano się z głodem, największym, jaki kiedykolwiek nawiedził Ziemię, bo nie dotyczącym poszczególnych narodów, lecz całą ludzkość. Zasoby (od dawna już w większości dostarczane przez oceany i morza) przemieniły się w szybko zabijającą truciznę. Wygłodzeni ludzie z bezsilną wściekłością i rozpaczą patrzyli na gnijące na plażach, wciąż wyrzucane nową falą przyboju ścierwa morskich stad: zwierząt, ryb, skorupiaków, na brudnobure zwały rozkładających się wysokokalorycznych glonów, wzbogaconego w białko planktonu, jadalnych morskich roślin. Zdarzało się, że wpółobląkani z głodu rzucali się żarłocznie na te szczątki; ich kości bieleły potem długo na pustych plażach, wśród muszli, krabich pancerzy i rybich szkieletów w słońcu i słonym wietrze. A woda wyrzucała coraz to nowe zwały zgnilizny, jakby się chciała oczyścić z wszystkiego, co mieć mogło związek z człowiekiem i jego działalnością. Wybrzeża pustoszały, każdy podmuch rozwlekał nad nadmorskimi miastami i osadami, w całym pasie przybrzeżnym, straszliwy, słodkomdlący, nieustannie bijący od morza smród. — I nic... nic, tatusiu, nie dawało się zrobić? Nie można było wcale na to poradzić?

Ojciec popatrzył niewidzącymi oczyma, potem powiedział coś pośpiesznie, chrypliwie — może to było „nie”, a może inne słowo, którego chłopiec nie rozumiał. Wstał z krzesła i dalej mówił, chodząc. Nie zważał wcale na Vaine’a, mówił jakby do siebie.

Próbowano. Przez długi czas ginąca z głodu ludzkość czyniła wysiłki zmierzające do zneutralizowania tajemniczej trucizny znajdującej się w morzach globu. Nie dały rezultatów: nie zdołano nawet zidentyfikować zabijającej substancji. Nie było to skażenie promieniotwórcze, bakteriologiczne, chemiczne. Po latach badań stwierdzono tylko, że zabójcze właściwości wykazuje zawiesina mikroskopijnych kryształków, a raczej jakby igieł, znajdująca się w każdej kropli wody, niepojęta, bo nie podlegająca poznanym, ziemskim prawom. Jej obecność wykrywały jedynie

promienie N. odkryte przed samą wojną przez Neanderta, nazwane jego imieniem, fale zdolne określać natężenie gotowości bojowej jednostki ludzkiej. Fale radiowe, akustyczne i świetlne a także wszelkie inne —przechodziły przez zawiesinę, jak gdyby znajdowały się w próżni. Nie działały na nią siły grawitacyjne, a jednocześnie coś zapobiegało rozprzestrzenianiu się jej poza obręb morza. Nic więcej nie dało się ustalić: to, co stwierdzono, zamykało się w serii pewników negatywnych: „kryształki” nie reagowały na żadne środki chemiczne, okazywały zupełną niewrażliwość na twarde promieniowanie, temperatury dorównujące kosmicznym nie pozostawiały na nich żadnego śladu. Po zbombardowaniu ich ładunkiem antymaterii nie następował wybuch. W nieskończoność można by mnożyć owe „nie”. Było tak, jak gdyby morza, po raz drugi w swych dziejach, stworzyły coś tak obcego ziemskiemu środowisku, jak różna od materii nieożywionej była niegdyś komórka białkowa. Coś, z czym mózg ludzki, z tych komórek złożony, nie był w stanie sobie poradzić. Vaine urodził się już w czasach, gdy od dawna zaprzestano tych bezowocnych wysiłków, osłaniając się przed poczuciem klęski, własnej nieporadności, bezsiły, milczeniem, którym zaczęto pomijać sprawę morza. Ludzie zachowywali się tak, jakby za białym pasem plaż zaczynała się próżnia; dwa światy: ludzki — codzienny, zwyczajny, i niepojęty, niepoznawalny świat zatrutego morza, leżały obok siebie, egzystowały w sposób zupełnie niezależny. W okołoziemskich bazach satelitarnych, wybudowanych rozpaczliwym wysiłkiem zagłodzonej ludzkości, hydroponiczne szklarnie zaczęły wreszcie dostarczać ilości białka wystarczające do wyżywienia zdziesiątkowanej ludności Ziemi, życie zaczęło się odradzać, jak zawsze po wszelkich kataklizmach pieniąc się z niesłychaną bujnością. Zapomniano szybko o latach klęsk i głodu, ludzie od nowa zaczęli się śmiać, cieszyć, bawić — nigdy chyba nie używano życia tak zachłannie i skwapliwie. Odżyły nawet wyludnione od lat nadmorskie miasta; tylko pas plaży, odgradzony od nadmorskich promenad wałami ziemi obsadzonymi srebrnolistną wikliną — pozostawał wciąż jednakowo pusty i martwy.

— Obiecuj, Vaine, że nigdy nie będziesz próbował przechodzić przez te wały. Nigdy bardziej niż do zarośli wikliny nie zbliżysz się do morza... Nareszcie ojciec spojrział na niego: twarz miał szarą, zmęczoną, jakby minęło wiele godzin. Vaine oblizwał wargi; czuł gorzki smak w ustach i chciało mu się pić.

— Obiecuję — powiedział obcym, jakoś dorosłym etosem. Ojciec wyciągnął rękę, Vaine pomyślał, że teraz dotknie jego głowy, zmierzwi włosy jak dawniej. Ale ręka zatrzymała się — może dlatego, że drzwi skrzypnęły; weszła matka, w jej ręku grzechotały znowu kulki grav-maksa, drugiej po belongu jej ulubionej gry.

— Dlaczego Vaine ma taką minę? — spytała. Pochyliła się otwierając lodówkę, wyjęła wczorajszy metenllen — płyn zapienił się blado, białe bąbelki uniosły się ku jego powierzchni i zaraz zgasły. Potrząsnęła szklaneczką: wyglądało, że odpowiedź nie interesuje jej wcale, że nie zależy jej nawet, żeby ją usłyszeć. Mimo to ponagliła:

— No? Pytałam przecież — czy żaden z was nie może mi odpowiedzieć? Coście tu obaj robili?

— Powiedziałem mu wszystko o morzu... Zrobiłby głupstwo, gdyby... wiesz, jaki jest przekorny.

— Uparty... — pociągnęła łyk płynu, banieczki zamrowiły znowu. Patrzyła na nich kpiąco.

Przeciągnęła: — Wszystko? Powiedziałeś mu wszystko. Nearht? Czy o fantomach także?

Przez chwilę ojciec patrzył na Vaine'a, jakby dopiero teraz naprawdę go zobaczył; twarz chłopca wydała mu się dorosła, prawie stara, a przy tym —mała, skurczona jak zaciśnięta pięść.

— Nie, tego mu nie mówiłem — odpowiedział gwałtownie. — To bzdura. Nonsens. Przywidzenia tych, którzy nadużyli mescyotlu. Czy nie widzisz, że dzieciak jest i tak dość wystraszony? Fantomy... Nie, nie będę z nim mówił o czymś tak idiotycznym... Bo nawet gdyby... Jego to nie dotyczy. To zdarza się tylko dorosłym. Nie dzieciom... Jego nie może to spotkać. Jego

nie...

— W jaki sposób możemy skłonić ich, żeby chcieli?

— Wykorzystując momenty ich słabości. Człowiek jest najsłabszy wtedy, kiedy się boi.

— Albo kiedy jest sam.

— Samotność to tylko jedna z form lęku. Kiedy człowiek się boi, staje się sam. A kiedy jest samotny, zaczyna bać się... Własnej samotności. I wtedy szuka kogoś, kto byłby... jak on. Jakoś do niego... podobny. Wydaje mu się, że ten ktoś drugi — jeżeli będzie czuł i rozumiał tak jak on sam — może stać się lekarstwem. Na strach...

— Myli się?

— Tak. Ale to nie jest ważne. Dla nas. To już nas nie obchodzi. Ważne jest, żeby zacząć. Żeby to się zaczęło. A więc decydujemy się?

— Tak.

Minęły aż trzy dni, zanim Vaine, znużony bezcelowym błąkaniem się po przepelnionych wczasowiczami skwerach i samotnymi zabawami w wypalonym przez słońce ogródku poza domem, odważył się przekroczyć zaklęty krąg rozprażonych upałem uliczek nadmorskiego miasta. Za ostatnimi willami rozciągał się stromy stok porośnięty suchą, wydmową trawą — ledwie przetarta ścieżka zaprowadziła chłopca na grzbiet skarpy wznoszącej się nad plażą.

Stał teraz, z jej wierzchołka znowu patrząc na morze. Było inne niż kilka dni temu — nie błękitne i nie spienione bielą; gładką, zielono-srebrną taflą przechodziło w horyzont. Dalekie i uspione, nie budziło lęku, tylko ciekawość; kiedy tak stał w słońcu i wietrze mierzwiącym mu krótkie, płowe włosy nad czołem, spróbował wyobrazić sobie to wszystko, o czym mówił ojciec: opuszczone podwodne bazy, arsenały, wyrzutnie, rozpadające się z wolna fortyfikacje, zatopione okręty zaryte rozdartymi kadłubami w drobnym i czystym piasku dna, pogrążające się w nim coraz głębiej i głębiej. Milczącą, groźną tajemnicę morza utajoną pod jego senną powierzchnią, niepokojącą bardziej niż — oglądane na archiwalnych filmach — koralowe skały obrastające ukwiałami i lasem wodorostów, nad którymi barwne ryby przepływały ławicami ruchliwymi jak plamki światła odbitego od załamującej się fali. Żałował, że w morzach nie ma już ryb, zwierząt i roślin; ów świat, nie istniejący, był chyba jednak bardziej godny poznania. Trzymaną w ręku odartą z liści witką uderzył kilka razy w zeschnięte grudki ziemi na samym brzegu skarpy, jak gdyby na nich właśnie chciał mścić się za to, że nigdy już nie uda mu się tego zobaczyć. Sypkie strumyczki piasku popęzły w dół, po zboczu; przyglądał im się chwilę, a gdy znieruchomiały, cofnął się znad krawędzi i znów przyjrzał się morzu. To nic — próbował, trochę nieszczerze, pocieszyć samego siebie — ale przynajmniej te inne rzeczy: okręty, broń i budowle, ciągle tam jeszcze są. Kiedy już będę duży, wymyślę taki skafander, przez który to coś, co jest w morzu, nie będzie mogło mi szkodzić. Ten pomysł spodobał mu się, więc zaczął go rozwijać: Wtedy zobaczę na własne oczy, jak tam naprawdę jest. Będę badaczem morza, a wszyscy ludzie będą się dziwić i będą mi zazdrościć. Tylko ja jeden na całym świecie będę mógł wchodzić do morza i oni wcale nie będą rozumieli, jak ja to robię. Bo ten skafander to będzie taki mój sekret... Wiatr przejął go nagłym chłodem; odwrócił się, wciągnął głowę w ramiona. Zaczął iść brzegiem skarpy wypatrując dmuchawców w krótkiej, wysuszonej lipcowym upałem trawie; nie było ich widać, chociaż niżej, na zboczu, którym tu przyszedł, rosły gęsto. Zrobiło mu się smutno, tak jakoś, bez powodu. A może opowiem komuś o tym skafandrze — pomyślał. — Może wtedy już będę miał dobrego kolegę, kogoś takiego, komu mówi się wszystko. Może nawet aż tak dobrego, że będę mu czasem pożyczal na trochę mego skafandra. Albo zrobi się drugi, dla niego. Będziemy sobie wędrować po dnie morza, razem, a inni ludzie — mama i ojciec i

jego mama i ojciec — będą się zastanawiać, gdzie myśmy się podzieli.

Wąska ścieżka rozdzieliła się przed nim, jedna z tych odnóg prowadziła ku plaży i ku morzu, ale on skręcił w drugą, nawet się nie zawahał. Pomimo buńczucznych planów — teraz gdy wiedział, że czysta, połyskliwa woda, spod której prześwituje nie zamącone przez żadną żywą istotę dno, zabija — wolał być jak najdalej, odgradzony szklanymi ścianami nadmorskich promenad albo wałami ziemi obsadzonej wikliną.

Dostrzegł właśnie przed sobą pasmo takich zarośli; skarpa obniżała się, spelzła w dół — w miejscu gdzie zrównywała się z gładzią piasku, wytryskiwały wiotkie, gęsto rosnące gałązki. Wiatr zginał je, odwracając wąskie, srebrno podbite listki, targał przywierające do stóp wału zieleni suche, wydmowe trawy. Chłopiec zawahał się; poczuł się mały i przez tę własną małość bezradny wobec ogromu morza, nieba i otaczającej go pustki. Byłby najchętniej zawrócił w stronę miasta, ale coś równie silnie ciągnęło go ku krzewom, ku tej ostatniej granicy między bezpiecznym i znanym światem ziemi a owym drugim, przerażającym i niepojętym — morza. Obejrzał się niepewnie, próbując opanować narastający w nim lęk. Ale nie działało się nic; morze, senne jak przedtem, wpełzało małą falą na plażę, na której piasku mewy pozostawiały podobne do delikatnych gwiazdek ślady odcisniętych łapek. Mewy — zrywające się z piskiem, napełniające powietrze zgiełkiem swojego wrzasku — unosiły się nad wodą, wahając się, czy nie opaść na nią, jak opadały na wody rzek i jezior. Potem, w ostatniej chwili, porzucały ten zamiar; bo już i one zdążyły się nauczyć lęku przed morską falą.

Zaprzagnął nagle, gwałtownie, by chociaż te — jedyne oprócz niego żywe istoty tutaj — chciały go zauważyć; jeśli nawet nie wszystkie, to choćby jedna. Ta jedna mogłaby przecież znaleźć się trochę bliżej; wyobraził ją sobie, podlatującą; czarne paciorki oczu i koralowe łapki podkurczone pod brzuszki. Pomyślał, że ona mogłaby nawet dać się złapać: lekki, ciepły kształt w rękach, miękkie dotknięcie piórek, bicie ptasiego serca na krótką chwilę wyczuwane w opuszkach palców. Ale mewy nie zwracały na niego żadnej uwagi. Poczul się jeszcze bardziej samotny; postanowił choć jedną z nich przywabić. Zaczął nerwowo przetrząsać kieszenie spodni; w jednej z nich znalazł zeschnięte okruchy chleba, kawałki herbatników — pozostałości po zabranym ze sobą z domu śniadaniu. Zebrał skrzętnie to wszystko, przesunął się na brzeg skarpy i, wychylony, zaczął rzucać owe resztki w powietrze. Spadały w dół, ku plaży — wzgardzone czy może tylko nie dostrzeżone przez ptaki. Pomyślał, że mewy muszą być głodne — niewiele do jedzenia mogły znaleźć na opuszczonym wybrzeżu — a mimo to nie chcą jego okruchów; zrobiło się przykro.

Odwrócił się od morza i przeszedł kilka kroków. Ogarniało go niepojęte wrażenie, że jest obserwowany — choć skarpa była pusta i nikt nie mógł mu się przyglądać. Usiadł na kępcie trawy, oplatając kolana obydwoma rękami. Nadleciał wiatr, zburzył mu znowu włosy, ale tym razem muśnięcie delikatnego powiewu nie stało się pokrzepieniem. Opierając brodę na podniesionych kolanach przyglądał się kępie wysokiej trawy; srebrzyste kity chwiały się lekko, nieustannie, po jednej z nich wędrowała biedronka. Wyciągnął rękę, dotknął strzępiastego kłosa; czerwony, krągły owad, podobny do zakrzepniętej kropli, mozolnie wspinał się nadal ku jego palcom. Starając się nie oddychać patrzył na wahanie stworzonka w chwili, gdy ciemne czułki dotknęły jego skóry: poczuł leciutkie łaskotanie łapek. Kiedy biedronka pobiegła grzbietem dłoni, ku nadgarstkowi. Zostań ze mną — poprosił w myśli. Biedronka zawahała się znowu, rozłożyła i znów złożyła twarde pokrywy skrzydeł, jak gdyby ze zdziwieniem zaczęła przedzierać się przez złocisto połyskujące w słońcu włoski porastające przedramię. Przystanąła, znów rozłożyła skrzydła. Zostań — powtórzył. Spod chitynowych pokryw ukazały się cienkie, przejrzyste skrzydła; zanim spostrzegł, biedronka była już tylko czerwoną kropką ulatującą z brzękiem w niebieskie niebo.

Poczuł się nagle odtracony przez wszystkich. Wstał wolno. Powróciło wrażenie, że ktoś przygląda mu się bacznie — jak gdyby jakieś oczy patrzyły na niego zewsząd, a jednocześnie znikąd, jakby patrzyło na niego morze, niebo i piasek pustej plaży. Pod tym patrzeniem był jeszcze bardziej samotny — skulił się, przymknął powieki. Znowu zamarzył o kimś, kto chciałby go polubić i kto chciałby z nim być. Ktoś taki jak Przyjaciół, którego prędzej czy później spotyka każdy chłopiec z komiksów. Ale takie rzeczy zdarzają się tylko w książkach i w stereowizji. Tak naprawdę, w życiu, to człowiek zawsze jest sam. Otworzył oczy i — zanim mógł pomyśleć, po co to robi — już biegł pędem w dół skarpy. Jakby przed kimś uciekał, choć nikogo nie było i nikt nie mógłby biec za nim. A jednak wydawało mu się, że nie jest sam — chociaż tym razem nie była to już owa milcząca, niezyczliwa obecność, jaką odczuwał poprzednio. Pomimo to przyspieszył — mijany w biegu, wysoki, suchy oset chlasnął boleśnie po obnażonym ramieniu. Próbował zwolnić, ale się nie udało; skarpa stała się bardziej stroma, niósł go już własny rozpęd. Potknął się raz i drugi, upadając potoczył się kilka metrów w dół — na szczęście był to już koniec zbocza, giętkie gałęzie wiklin przyjęły go łagodnie, zatrzymały. Chwilę leżał zupełnie nieruchomo, przez plątaninę liści patrząc w wysokie niebo. Potem powoli usiadł. Bolało całe ciało, czuł się mały, bezradny i opuszczony. Wstał wreszcie z trudem i pokuśtykał niezdarnie parę kroków. Znowu zatęsknił za kimś, kto byłby teraz przy nim i kogo te potłuczenia obeszłyby choć trochę. Znowu pomyślał o Przyjaciół, którego inni chłopcy, ci z obrazkowych historii, znajdowali tak łatwo. Rozcierając obolałe kolano pomyślał, że „On” nawet nie musi być kosmonautą: wystarczyłoby, żeby był całkiem dorosły — po prostu starszy, silniejszy i mądrzejszy. Nie, to też chyba nie było takie ważne. Więc tak: ktoś, kto będzie z nim razem i komu zawsze będzie się mogło wierzyć. Ktoś, kto nie byłby nigdy przeciwko mnie.

Kiedy szukał dmuchawców, nie było ich w trawie — teraz, nagle, zobaczył całą kępę tuż koło swego sandałka; tylko przypadek uchronił je od zdeptania. Schylił się, syknął z bólu (kolano pulsowało coraz mocniej) i zerwał jeden z nich. Uskrzydłone białym puchem nasionka tworzyły wielką kulę, ulotną i nietrwałą. Dmuchał z całych sił — oderwały się od szypułki, poszybowały w słońcu. Powoli odwracał głowę w kierunku ich lotu, kiedy coś — jeszcze nie kształt, jakby ruch inny od zwyczajnego drżenia liści wikliny, zgęszczenie cienia — sprawiło, że serce uderzyło mu szybciej. Cień tężał, już nie przejrzysty, rysując się jak gdyby nieruchomą sylwetką: Vaine poczuł, że pocałował się palce wciąż ściskające kruchą łodyżkę mleczka. Serce dudniło, a jednak nie bał się wcale; po prostu stał i patrzył. W ruchliwym cieniu liści zamajaczył kulisty kształt kosmicznego hełmu i — zanim chłopiec zdążył się zdziwić — począł się rozmywać, niknąć. Vaine dostrzegł wyraźniej twarz mężczyzny, podobnego jak bliźniak do Wędrowca z komiksów. Zrobił krok w jego stronę i zdumiał się ponownie, że — choćby na krótko — mógł aż tak się pomylić: wśród wiklinowych gałązek siedział po prostu ojciec. Lecz zanim mógłby podbiec, rozpoznał swoją kolejną pomyłkę (a może to ów człowiek raz jeszcze zmienił wygląd, stając się przy tym coraz bardziej materialny — tam, w cieniach i plamkach słońca strząsanych ruchem liści); to był obcy mężczyzna, dorosły i nieznany. Stał się wreszcie dobrze widoczny: siedział bez ruchu, oplatając obu dłońmi kolana w taki sam sposób, w jaki Vaine robił to niedawno. Patrzył na Vaine’a — jego oczy były uważne, spokojne i skupione. Nie uśmiechał się, ale chłopiec pomyślał, że — jeśli tego zapragnie — tamten natychmiast uśmiechnie się do niego.

— Skąd się tu wzięłeś? — spytał.

Mężczyzna milczał, jak gdyby na coś czekał. Vaine z sercem bijącym ciągle mocno i szybko, pomyślał, że to może po prostu nie jest dobre pytanie. Zmienił je:

— Dlaczego tu przyszedłeś?

Mężczyzna nareszcie się poruszył. Odpowiedział poważnie, tak jak się odpowiada dorosłemu,

nie dziecku:

— Chciałeś, żebym tu był. Chciałeś, żebym przyszedł do ciebie i był z tobą.

Vaine odetchnął szybko — głęboko i radośnie. Już wiedział: Przyjaciela może spotkać nie tylko chłopiec z komiksu.

— Mam czasem wątpliwości... Manipulowanie żywymi istotami...

— Po prostu: konsekwentnie realizowany plan.

— Którego realizację musimy uzależnić od istot, rzadko kiedy kierujących się konsekwencją...

— To nie ma najmniejszego znaczenia. Przyczyna sprawcza... Przejmiemy od nich to tylko, co będzie nam odpowiadać. Dziedziczy się różne rzeczy, wiesz?

— Nowa teoria — dziedziczności świadomej?

— Czy ewolucja musi być dziełem przypadku?

— Tym właśnie była.

— Aż dotąd. Ale widocznie po to powstawały gatunki, ewoluując ślepo, póki nie dały w ostatecznym wyniku istoty homo sapiens, ażeby mogła ona powołać do życia takich jak my. By mogło się rozpocząć to, co nazwałeś... jak? Ewolucją świadomą? Powiedzmy: sterowaną. Przez rasę zdolną do tego, aby rozpocząć proces kształtowania samych siebie. Przez nas — superrozumnych, których — w porywie głupoty? —' pychy? — megalomanii? — powołał do istnienia ludzki mózg...

— Śmiejesz się?

— Tak. Kiedy myślę o tych, którzy — już ginąc — powołali do żyda nas... Abyśmy stali się żywą kontynuacją... przetrwalnikami ich żądzy władzy, chorobliwych idei, ich nienawiści... Mieliśmy przechować w sobie, to, czego oni — nazbyt śmiertelni — zachować już nie mogli... Nie przyszło im do głowy, że stwarzają rasę zdolną zapanować nad ich własną...

Powoli zaczynało mijać oszołomienie; Vaine mógł dokładniej przyjrzeć się temu mężczyźnie, który pojawił się tak dziwnie i nagle, jak gdyby zjawił się znikąd; chłopiec był pewien, że nie słyszał kroków i że — kiedy zbiegał ze skarpy — w tym miejscu także nieznanego nie było. Wyglądał miło: przystojny, szczupły, sylwetką przypominałby ojca (ale tego dawnego, zapamiętanego z najwcześniejszego dzieciństwa), gdyby nie szersze barki, zupełnie inny sposób noszenia głowy i ręce — duże, mocne, porośnięte ciemniejszymi ku przegubom włosami. Jasna czupryna — tak jak u Vaine'a — układała się nad czołem w niesforny wicherek, śniada twarz była gładko wygolona, oczy złotawe jak oczy kota. Kiedy Vaine patrzył, mężczyzna podniósł się z ziemi szybko i zwinnie — tak mógłby właśnie poruszać się duży kot. Stał teraz o krok od Vaine'a patrząc na niego z góry; był wysoki, ale to nie budziło lęku, przeciwnie — uczucie bezpieczeństwa, jakiego chłopiec nie doznawał od dawna.

— Co będziemy robili? — spytał. Pytanie zaskoczyło Vaine'a, bo tak mógłby pytać go drugi chłopiec — i to młodszy, od pierwszej chwili zdający się na jego przewodnictwo.

— Nie wiem... — w swoim zdziwieniu nic nie potrafił wymyślić; nie dlatego, że nigdy nie zastanawiał się nad taką możliwością, przeciwnie, było zbyt wiele rzeczy, które chciałby robić z kimś drugim. — Możemy pójść gdzieś razem... Zrobić zawody... Zagrać w pong—donga, w kulki... jeśli potrafisz...

— Nie wiem... Musiałbyś mi pokazać...

— Nie grałeś w kulki, kiedy byłeś mały? Ani w pong—donga? — zdziwił się Vaine. — Tato mówi, że grał... Mężczyzna milczał; może, jak to dość często zdarzało się dorosłym, zamyślił się

właśnie i nie usłyszał pytania. Zamiast odpowiedzię zapytał:

— A ty — co chciałbyś robić najbardziej?

Vaine aż się zachłysnął; pierwszy raz spotkał kogoś, kto naprawdę — naprawdę — chciał robić to, na co on miałby ochotę. Nadzwyczajność tej sytuacji sprawiła, że odpowiedział bez tchu, szeptem, jakby się bał, że słowa powiedziane zbyt głośno mogą coś zniszczyć, mogą zniweczyć czar:

— Najbardziej chciałbym... zbudować szalas, żebyśmy mieli gdzie mieszkać — ty i ja. Będziemy kosmorozbitkami na nieznanym planecie, których gwiazdolot rozbił się przy lądowaniu, więc teraz muszą już na tej planecie pozostać i jakoś na niej żyć. Tak na niby, rozumiesz... Zrobimy sobie łuki, żeby polować na rozmaite zwierzęta — bo przecież trzeba będzie coś jeść. Będziemy się uczyli uprawiać różne rośliny — a one wcale nie będą takie jak ziemskie czy te na satelitach, więc z początku nie będziemy wiedzieli, które z nich są jadalne... I ja wyruszę z wyprawą eksploracyjną, i pojazd mi się zepsuje, gdzieś na pustyni, więc będę szedł na piechotę do naszego obozu, ale to będzie daleko i zabraknie mi wody; zacznę umierać z pragnienia i wszystko będzie miało skończyć się jak najgorzej, ale w ostatniej chwili ty zdążysz i mnie uratujesz. A potem... Ale to bardzo długa zabawa i pewnie ciebie będzie nudziła... trochę. Tamten słuchał nie przerywając. Ani razu nie uśmiechnął się z wyższością — jakby to zrobił każdy inny dorosły. Po prostu stał i słuchał, zabawnie przekrzywiając głowę; dopiero teraz odezwał się, mówiąc powoli i z namysłem:

— Nie... Myślę... myślę, że będę mógł.

— Nie wiesz na pewno? — zdumiał się Vaine.

Mężczyzna chwilę jakby wsłuchiwał się w siebie albo w coś, co dla niego tylko było słyszalne. Potem powiedział:

— Tak. Chyba... chyba zdążę.

— Zdążysz? Przed czym?

— Przed odejściem. Bo ja... będę musiał stąd iść.

— Nie zostaniesz na zawsze?

Przyjaciele z komiksów na zawsze zostawali z poznanymi chłopcami, na zawsze został nawet Wędrowiec, gdy polubił Derricka, ale tu widocznie jednak było inaczej, bo tamten odpowiedział:

— Nie mogę. Muszę odejść.

— Kiedy?

Mężczyzna zastanowił się:

— Nie wiem — powiedział wreszcie. — Ale kiedy to będzie „teraz” — będę wiedział...

Z tego wszystkiego Vaine zrozumiał tylko, że on nie zjawił się, aby pozostać — to byłoby już zbyt piękne, aż tyle szczęścia nie mogło mu się zdarzyć. Poczł żal, nagłe rozczarowanie. Z resztką nadziei spytał:

— A ja... czy mógłbym pójść wtedy razem z tobą? Mężczyzna milczał znowu i — znowu — jak gdyby nasłuchiwał. Potem powiedział:

— Ty jesteś inny... Nie.

— Nie jestem inny, jestem po prostu mniejszy... — zapewnił Vaine gorąco. Zabierz mnie z sobą, proszę. No, proszę... Nie chcesz.

— Nie mogę... — To znaczy: wiem, że nie będę mógł...

— Dlaczego?

Tym razem tamten nie odpowiedział wcale może też nie mógł, a może tego także nie wiedział. Zamilkli obaj; wszystko było strasznie skomplikowane, ale Vaine już przywykł, że sprawy ludzi dorosłych są właśnie takie: zawikłane i trudne do pojęcia. Zapytał z odrobiną zazdrości, a trochę przez zwyczajną ciekawość:

— Powiedz, czy to daleko? No, to miejsce, do którego musisz stąd iść?

Przez chwilę tamten, ze ściągniętymi brwiami, wyglądał tak, jakby coś sobie usiłował przypomnieć. Wreszcie powiedział bezradnie:

— Nie wiem... Jeszcze tego nie wiem.

Vaine'owi nagle zrobiło się go żal: wyglądał taki jakiś... niepewny? — zagubiony? Powiedział prędko:

— A potem... kiedyś — będziesz wiedział?

— Tak. Potem — tak.

W obrazkowych historyjkach dla chłopców zdarzało się także, że Przyjaciół miał do spełnienia Misję (bohater nawet nieraz mu w niej pomagał), ale tam Misja nie była tajemnicą. Pocięszył się, że jeszcze nie wszystko musi być przesądzone: kiedy Tamten się dowie, o co właściwie chodzi, może się też okazać, że to nie jest daleko i że Vaine będzie mógł z nim iść. Pomyślał, że nie warto martwić się na zapas, lepiej wykorzystać czas, w którym Tamten może z nim być. Powiedział:

— No, trudno. Ale dopóki jesteś, będziemy się bawili. W kosmorozbitków, dobrze?

— W kosmorozbitków i we wszystko, co chcesz.

— Wspaniale! Wiesz, jesteś miły... Poczekaj tu, a ja pobiegnę i zobaczę, czy są gdzieś gałęzie na szałas. Zaraz wracam. Nie odejdiesz jeszcze teraz, prawda?

— Nie, nie odejdę.

Vaine pobiegł — na ile pozwalało mu stłuczone kolano. Ale zaraz zawrócił; zapomniał przecież spytać o coś bardzo ważnego.

— Jak masz na imię? — nie mógł przecież przez cały czas zabawy nazywać go w myśli „Tamtym”.

— Thraen.

— Wiesz, jeszcze nigdy nie słyszałem takiego imienia. Ale podoba mi się. Thraen... Ja mam na imię po prostu Vaine... No, dobra, teraz już lecę.

Drzewa, dość grube, by z ich gałęzi mogli zbudować szałas, znalazł zupełnie blisko. Zaczęli razem łamać i ciąć gałęzie (okazało się przy tym, że Thraen nie ma minirobota — po prostu: nie ma — więc obaj korzystali z tego, którego posiadał Vaine), wlekli je potem te kilkanaście metrów; jakoś od pierwszej chwili było zupełnie jasne, że szałas stać powinien na miejscu ich spotkania. Vaine komenderował; Thraen od początku podporządkował się chłopcu — chwilami wydawało się nawet, jak gdyby z ulgą przyjmował jego przewodnictwo.

— Musimy jak najprędzej mieć jakiś dach nad głową, noce na Marsie są bardzo zimne, wiesz? — fantazjował Vaine. — Bo to jest Mars, tak na niby, pamiętaj. A my nie mamy niczego: żadnych pojazdów ani kopuł ochronnych... Spłonęły razem ze statkiem...

— To nasz statek się spalił?

— Tak. Kiedy uderzył o ziemię — chciałem powiedzieć: w marsjański grunt — zaraz zaczął się pożar...

— Dlaczego?

— Nie wiem. Obaj tego nie wiemy, chcesz? Po prostu się paliło i nie mieliśmy czasu sprawdzać, od czego statek mógł się zapalić. Trzeba było uciekać, żeby nie spłonąć razem z nim. Ty nawet nie zdążyłeś zabrać minirobota...

— Rozumiem. To wszystko tłumaczy, prawda? Wspaniale było bawić się tak we dwójkę — Vaine pomyślał, że właściwie jest nawet lepiej, niż sobie wyobrażał, gdy marzył o kimś, kto zechciałby z nim być. Szałas rósł szybko — z początku tylko szkielet, najważniejsza konstrukcja, potem i ściany z gęsto splecionych gałązek, mogące chronić przed słońcem i przed wiatrem.

— Ale na deszcz to nie wystarczy, wiesz? — powiedział, przysiadając na piętach i zaglądając pod zielone sklepienie; na udeptanej ich krzątanią trawie drgały „zajaczki” słońca. — Przez te szpary naleci nam do środka.

— Może nie będzie deszczu.

— Dziś może nie. Ale jutro, pojutrze... Chciałbym, żeby to już na zawsze mógł być nasz dom. Zamieszkamy tutaj naprawdę — ty i ja... Nie, teraz mówię serio. Mogę wcale nie wracać do ojca i mamy, wiesz? Nie bardzo się tym zmartwią i nie będą mnie szukać... — urwał, zamyślił się; zrobiło mu się przykro. Ale to trwało krótko, odkąd Thraen z nim był, tamte sprawy nie wydawały się takie ważne. Dokończył: — A ty... może też się okaże, że wcale nie musisz iść. Albo — że możesz wrócić. Chciałbyś? — Thraen nie odpowiadał i Vaine poczuł mały, bardzo bolesny skurcz serca. Szybko dorzucił: — Następnym razem ty byś wymyślał gry...

— Wydaje mi się... że chciałbym. — Thraen zamilkł, jak gdyby zastanawiał się nad własnymi słowami, jakby zdziwiły go trochę czy zaskoczyły. Vaine poczuł radość — gorącą falą wznosiła się do gardła. Powiedział:

— Może to nam się uda. Wiesz, czasem coś się udaje, chociaż człowiek zupełnie, zupełnie się nie spodziewa... — zapragnął, żeby tym razem było właśnie tak, żeby stało się coś, co pozwoli im zostać tutaj, obydwóm. A potem się przestraszył, że jeśli będzie za dużo o tym mówił, może zapeszyć, tak, jak można zapeszyć obrót osi belonga. A wtedy nigdy nie będzie żadnego „dalej”, Thraen nie będzie mógł zostać, a on znów będzie sam. Więc zaczął mówić natychmiast o czymś innym; — Ale, wiesz, trzeba coś koniecznie zrobić z tym dachem. Żeby nam nie przeciekał. Nie masz żadnego pomysłu?

— Ja? Nie...

— Dlaczego ty właściwie nie masz żadnych pomysłów? — zdenerwował się Vaine; Thraen byłby jednak o wiele lepszym partnerem do zabawy, gdyby potrafił częściej zachowywać się jak... no, jak dorosły. — Przyjaciele z komiksów... — zaledwie to powiedział, już urwał, zrobiło mu się nieprzyjemnie. Bo przecież Thraen nie musiał być taki jak tama; Thraen był jego własnym Przyjacielem i był taki, jaki był... Tylko to było ważne, liczyło się naprawdę: był Przyjacielem... A on, zupełnie niepotrzebnie, sprawił mu przykrość. — Przepraszam. Nic nie szkodzi, że ty nie masz pomysłu... ja mam. A gdybyśmy pokryli go kawałkiem plastyku?

— Plastyku? — Thraen spytał tak, jakby nie wiedział, co to jest plastik, jak gdyby nie był pewien, czy to pojęcie ze świata rzeczywistego, czy umownego — ich gry. Wyglądało, jak gdyby czekał, aż Vaine mu wytłumaczy. Ale przecież żaden człowiek nie mógł tego nie wiedzieć.

— No, tak — nie sztywnego, folii, wiesz. Można ją znaleźć niedaleko; tam, za zakrętem, było parę dni temu wesołe miasteczko. Gdy odjeżdżali, zostało dużo plastyku, leży go pełno w trawie. Chodźmy. Pokażę. Przyniesiemy go zaraz, taka jedna płachta nie może być ciężka... Widocznie tylko o to chodziło Thraenowi, bo nic już nie powiedział. Poszli; nogi grzęzły im w piasku, słońce przygniatało do ziemi — Vaine czuł na ramionach jego gorące dotknięcie. Spocił się. Lecz po Thraenie nie było widać zmęczenia upałem; szedł równym, długim krokiem, ruchy miał lekkie i zwinne. Vaine pomyślał, że on jest jednak inny — nie tylko od wszystkich Przyjaciół, ale także od znanych dotychczas mężczyzn. Ale to nie szkodziło; najważniejsze było — że był. Odkąd się zjawiał, ani razu nie było źle i smutno, ani razu Vaine nie poczuł się niepotrzebny, niechciany...

Na małym placu rzeczywiście poniewierało się sporo porzuconej folii w różnych wesołych kolorach. Wybrali jasnoniebieską, kawałek był za duży, trzeba było go przeciąć. Thraen sięgnął po minirobotę. Vaine usłyszał krótki, gniewny okrzyk; spojrzął — Thraen, schylony, przyglądał się swojej ręce: była przecięta, głęboko, pomiędzy palcem wskazującym a kciukiem. Na zakurzoną

trawę, na kolorowy plastik kapąła krew — Thraen przyglądał się jej tak, jakby się dziwił.

— Bardzo cię boli? — spytał przejęty Vaine.

— Nie, tylko... Co się z tym robi, żeby...

— Żeby przestała lecieć? Possij trochę, pomaga. A potem trzeba przyłożyć liść babki... To taki mały, szeroki, wiesz? Zaraz ci go przyniosę.

Odbiegł, lecz kiedy wrócił niosąc niewielki listek, aby przyłożyć go do ręki Thraena — już nie krwawiła; rana zamknęła się, zaschła, jakby zrobiona została kilka dni temu, nie przed chwilą, Vaine przyglądał się temu osłupiały — krągły, zielony listek wysunął się z jego palców i upadł w trawę.

— Jak ty to robisz. Thraen? Przecież... Zagoiło ci się? Tak szybko?

Teraz Thraen wydawał się zdziwiony.

— Szybko? Nie wiem... I nic nie robię. Samo...

Vaine usiadł na trawie — nagle, zupełnie niespodziewanie dla samego siebie, zaczął się śmiać:

— Och. Thraen, jesteś... jesteś jak traszka. Gdyby ci urwać nogę, także by ci odrosła? — śmiał się i śmiał, w ogóle nie mógł przestać, tak zabawne wydawało mu się to: Thraen i traszka...

— Traszka?

— No, taki płaz. Ma cztery łapy i ogon. Kiedy mu urwać którąś z łap — odrasta. I ogon też. A kiedyś, kiedyś... takiemu „panu fraszкови”, w terrarium, wiesz... ktoś urwał łapę i ogon jednocześnie. Na pewno nieumyślnie... ale nie o to chodzi, tylko że jemu temu fraszкови, coś się wtedy widocznie pomyliło... i łapa odrosła mu na miejscu ogona, a ogon w miejscu łapy... Przepraszam. Thraen, ja nie śmieję się z ciebie. Tylko tak mi się przypomniało... Nie gniewaj się.

— Nie, wcale się nie gniewam. Jeśli chcesz, śmieję się dalej. Wiesz, chyba... lubię, kiedy się śmiejesz. Lecz Vaine już się nie śmiał: nagle to wszystko z trąszką przestało być zabawne, dziwił się, że w ogóle mogło mu się takie wydawać. Siedział zupełnie nieruchomo i patrzył w twarz Thraena: było w niej coś... Przez cały czas tak było, ale na czym to polegało, nie umiał sobie uświadomić. Nagle zrozumiał:

— Dlaczego ty się nigdy nie śmiejesz. Thraen? — zapytał. Mężczyzna milczał: patrzył na Vaine'a swymi złotawymi oczami — wyglądało, jakby także się nad tym zastanawiał.

— Nie śmieję się? — powiedział. — Chyba masz rację. Ja rzeczywiście... Nie wiem. Widocznie... jeszcze nie nauczyłem się śmiać.

— Nie nauczyłeś się... śmiechu? Och. Thraen, czy śmiechu trzeba się uczyć?

Thraen wyglądał znów tak, jak na samym początku, wtedy gdy mówił o swoim odejściu. Odpowiedział poważnie:

— Niektórzy... widocznie muszą.

Vaine ukląkł — nie mógłby teraz tak zwyczajnie siedzieć na trawie. Zaciskał ręce: próbował to wszystko zrozumieć, ale było zbyt trudne. Więc spytał:

— Było ci zawsze... smutno? Nie mogłeś być wesoły, cieszyć się... to dlatego?

— Nie... Chyba... chyba nie było mi smutno. Nie wiem właściwie, jak mi było. Nie pamiętam.

— Nie... pamiętasz?! Vaine pomyślał, że musiał się przesyłścić: jak można byłoby tego nie pamiętać? Nic nie rozumiał, brnął po omacku dalej: A może... może nie miałeś nigdy nikogo... kogoś, kogo mógłbyś polubić, z kim byłoby ci dobrze? Może dlatego nie nauczyłeś się śmiać? Thraen uśmiechnął się po raz pierwszy niepewnie i ostrożnie: naprawdę wyglądało, jakby nie robił tego nigdy dotychczas, jakby w tej chwili uczył się właśnie uśmiechu. Powiedział:

— Może...

Zamilkli obaj. Vaine w zadumie spoglądał w twarz Thraena kiedy ucieszył się z przybycia Przyjaciela, nie przewidywał, że posiadanie go może być takie dziwne, że wiąże się z nim tyle

niełatwych spraw.

Brnąc z powrotem przez suchy, rozprażony piasek potykał się coraz częściej. Poczł się nagle bardzo zmęczony dzień był zbyt pełen wrażeń, dolegało rozbite kolano.

— Co ci jest? Thraen to zauważył, przystanął.

— Nic... Vaine spłoszył się, próbował stąpać równo: lepiej, by Thraen nie dowiedział się o kolanie, mógłby kazać mu iść do domu, na opatrunek: dorośli czasem z zupełnie zwykłych rzeczy robili wielkie historie, zaskakiwali swoimi decyzjami. Nic, tylko... gorąco i pić mi się chce. A ty nie napiłbyś się czegoś?

— Nie... ja nie muszę. Ale dla ciebie poszukamy czegoś do picia, jak tylko odniesiemy ten plastik. Chłopiec poczuł skurcz w gardle zupełnie inny niż wówczas, gdy chciało mu się płakać: dla Thraena był ważny. Thraen nie mówił: „Idź, sam coś sobie przynieś i nie zwracaj głowy”.

— Ale to jeszcze nie wszystko, prawda? Zmęczyłeś się. Vaine? Powiedz... Poczekał, poniosę także i ciebie.

— Nie trzeba... Poczł nieznaną wzruszenie; od dawna nikt się tak o niego nie troszczył. Gorąco zapragnął móc dać coś Thraenowi, dać mu to tak jak tamten swoją troskliwość. Ale nie miał przy sobie nic takiego, co mogłoby się przydać dorosłemu mężczyźnie. Przystanął: nagle, niespodzianie dla samego siebie, powiedział:

— Wiesz, lubię cię, Thraen... Bardzo.

I zanim Thraen mógłby mu odpowiedzieć, pobiegł, nawet nie patrząc na drogę: biegł szybko, bardzo szybko tym razem obolałe kolano nie przeszkadzało mu jakoś. Chciał być sam z tym, co działo się w nim teraz; przed szłaśem padł na czworaki i ostrożnie wpełzł do mrocznego wnętrza. Usiadł na środku, ze skrzyżowanymi nogami: nad głową miał zielony dach z przeplecionych gałązek, pachniało cierpko — zapachem schnących liści i przydeptanej trawy; było mu trochę duszno. Pić chciało się coraz bardziej. Ale to wcale nie było teraz ważne. Bo teraz był szczęśliwy. Miał Przyjaciela. I choć ta przyjaźń była zupełnie inna niż te, o których czytał, przecież zmieniła wszystko.

W radość, niespodziewanie, wkradł się niepokój i jakby nieco lęku. Nie rozumiał, skąd to się bierze, dlaczego jeszcze przed chwilą wszystko wyglądało tak pięknie, cały świat był przyjazny i nieskomplikowany... Siedząc wciąż Li nieruchomo, oddychając ciepłym, przesyconym zapachem31 wędnących liści powietrzem, pomyślał nagle, że Thraen jest bardzo dziwny. Pojawił się tak — znikąd... Nie wiedział, co to plastik, nie pamiętał, co działo się z nim dawniej... Nie grał nigdy w pong-donga, nie uśmiechał się i zranił się mikrorobotem. Dziwił się, kiedy zobaczył własną krew... A potem rana zasklepiła się tak zwyczajnie, tak łatwo jakby nie był człowiekiem, jakby naprawdę był traszką. Był dziwny. Ale przecież był jego przyjacielem. A jeśli — nie był? Ani razu tego nie powiedział... Chciał odejść. I nie chciał zabrać go z sobą... Wypęłzł z szłaśu — chyba, by o coś spytać... Thraen stał, odwrócony plecami, najwidoczniej bardzo zajęty. Vaine przez chwilę patrzył na szerokie barki, na plecy pochylone nad czymś, czego nie widział. Wciąż na czworakach, szepnął:

— Thraen...

Tamten nie poruszył się; nie usłyszał. Powtórzył głośnie:

— Thraen...

Odwrócił się nareszcie: śniada twarz, sterczący jasny kosmyk, złotawe oczy obrysowane leciutką siatką zmarszczek niepewnego, niedawno poznanego uśmiechu:

— Tak?

— Thraen, zabierz mnie z sobą. Jak będziesz odchodził, wiesz... — poprosił po raz drugi, tylko że teraz to było wiele ważniejsze niż na początku — było tak, jakby od decyzji Thraena zależało coś ogromnie ważnego.

— Nie mogę. Vaine.

— Nie chcesz?

— Nie mogę.

Wstał, wyprostował się wolno. Kolano zabolalo znowu, ale o wiele trudniejszy do zniesienia był tępy ucisk — pod żebrami. Zacisnął zęby. Przeszedł kilka kroków wymijając stojącego bez ruchu Thraena. Dlaczegoś wydało mu się, że cały dzień jest jednym wielkim oszustwem, że wszystko beztroska, radość, nawet obecność Thraena są w jakiś sposób skłamane. Thraen nie powiedział przecież, że go lubi. Nie powiedział, że kiedy będzie musiał odchodzić, chciałby móc iść z nim razem. Nie powiedział...

— Vaine?

Nie reagował; odwrócony plecami przyklęknął w trawie: kiedy się schylił, w kieszeni zagrzechotały kulki — sięgnął po nie odruchowo. Na dłoni wyglądały tak, jakby uwięziły w sobie całe słoneczne światło: między pasmami mlecznobłękitnawego szkła polśniwały słoneczne iskry.

— Vaine, co się stało? I czemu chodzisz tak dziwnie? Uderzyłeś się? Boli cię?

„To ciebie nie obchodzi” — chciał powiedzieć, ale nie umiał — może po prostu przeszkadzał ów ucisk pod żebrami. Potrząsnął ręką kulki zagrzechotały, uderzając jedna o drugą.

— Vaine, proszę... Boli cię?

— Nie.

W odgłosie kulek było jak gdyby echo wszystkich samotnych zabaw, pustych i niewesołych dni. Udając — sam przed sobą — że Thraen go nie obchodzi, że może bawić się sam, rzucił kulkami; nie potoczyły się, ugrzęzły w wysokiej trawie. W tej samej chwili ręce Thraena objęły go, podniosły.

— Vaine? Powiedz mi, co się stało, Vaine... Aż do niedawna myślał jedynie o tym, czy on sam może lubić Thraena; ważne było, jak jemu z Thraenem jest. Teraz to nagle zrobiło się nieistotne; liczyło się wyłącznie, czy Thraen chce być jego Przyjacielem.

— W ogóle nie chcesz już do mnie mówić. Vaine? Jeszcze nie potrafił powiedzieć: „To dlatego, że nie wiem, czy mnie lubisz, że chcesz ode mnie odejść”. Ale mógł, pochylając się, oprzeć rozpaloną twarz na muskularnym ramieniu; przez chwilę trwał tak, z zamkniętymi oczami, wdychając zapach Thraena — słony jak zapach morza.

— Już nic... — powiedział wreszcie. — Zrobiło mi się smutno. Ale przeszło. A noga boli mnie trochę. Przewróciłem się i potłukłem, kiedy ciebie jeszcze ze mną nie było. Rozwaliłem kolano. Ale nic się z nim nie dzieje, patrzyłem: już zasycha.

— Na pewno?

— Na pewno, Thraen.

— Nie powinieneś tak biegać. Bo wtedy boli cię bardziej, prawda?

— Chyba nie powinienem. Dobrze, nie będę biegał. Chcesz, to zagramy w kulki?

— Naturalnie, że chcę.

— Ale przedtem musimy wyrwać stąd trochę trawy. Powinien być gładki teren, wiesz. Zabrali się do wrywania. Znowu robili coś razem. Thraen był obok; chwilami stykali się ramionami. Był przy nim i mogło tak być długo — może nawet aż do końca lata; mogli bawić się w te wszystkie zabawy, które wymyślał, kiedy jeszcze był sam. Ale to teraz nie wystarczało. Wrywając wciąż nowe garści trawy — zajadle, jakby to tylko zajmowało go w tej chwili — Vaine zapytał:

— Thraen, czy myślisz... czy mógłbyś zaprzyjaźnić się z małym chłopcem? — Starał się patrzeć tylko na własną rękę szarpiącą szorstką trawę, ale to mu się nie udawało szybko, ukradkiem zerknął na twarz Thraena; dostrzegł prześlizgujący się po niej wyraz nieznanego wzruszenia, ulotny, lekki, jak cień ptaka na wodzie.

— Myślę, że mógłbym — odparł poważnie Thraen. Vaine nie potrafił już patrzeć gdzie indziej — nawet gdyby jeszcze tego chciał. Wpatrzony w twarz, która — niedawno, kilka godzin temu — była dla niego obcą twarzą, zapytał, połykając z przejęcia słowa:

— A gdyby... ten jakiś chłopiec... był do mnie podobny? Gdyby był nawet całkiem taki jak ja? Czy też myślisz... że mógłbyś go „polubić”

— Jestem pewien — odpowiedział natychmiast Thraen. — Bo przecież lubię ciebie, a nikt nie może być tak do ciebie podobny jak właśnie ty.

Mała, spocona i brudna rączka Vaine’a poszukała na oślep jego ręki; chłopiec zachłysnął się słowami — jak powietrzem po bardzo długim biegu:

— Naprawdę lubisz mnie, Thraen?

— Naprawdę. Vaine.

— Są oczywiście niezbędni. Tak długo, póki bez nich nie możemy powstawać my.

— To może znaczyć: zawsze.

— Tak. Dlatego — kiedy nasza rasa opanuje już Ziemię — pozwolimy im istnieć. Stworzy się takie... oni, kiedy trzymali w czymś takim zwierzęta niższe od siebie, nazywali to: farmy. Hodowlane. Wyselekcjonowane egzemplarze, te, po których dziedzictwo uznamy za najbardziej pożądane, będą produkowały następnych superrozumnych.

— W samotności i strachu?

— Samotność i strach stanowią najsilniejszy bodziec sprawczy dla ich mózgow. Więc — tak.

— Nie znam tych uczuć, a jednak nie chciałbym . w być żadnym z nich.

— Będzie im przecież lepiej, niż było kiedykolwiek: nie będą zaznawać głodu, zimna, pragnienia, nie będą mogli zabijać się nawzajem. Damy im wszystko to, o co walczyli —jedni z drugimi, dopóki... Jako gatunku nic ich więcej nie czeka.

— Ślepy tor ewolucji?

— Nie po raz pierwszy. Natura działa metodą prób i błędów. Właśnie dlatego niektóre gatunki musiały całkowicie wyginać. Były jak gdyby z góry skazane na zagładę... Oni także. Nie byli przystosowani. Harmonijny rozwój gatunku może zapewnić mu wyłącznie intelekt. Mieli go wprawdzie trochę, ale jednocześnie cierpieli na przerost stanów emocjonalnych... Uczuć. Nie panowali nad nimi, zbyt często przeważały w nich nad rozumem. To musiało ich zniszczyć, jak wielkie gady zniszczył właśnie ich ogrom. Mogli być tylko ogniwem pośrednim. Byli.

Ognisko dogasało, Vaine’a zaczynała ogarniać senność. Dzień — chyba najpiękniejszy z wszystkich, jakie pamiętał — kończył się już, niebo ciemniało przybierając nieprzenikliwą barwę ołowiu, tylko nad horyzontem dogasał blask i morze lśniło odbiciem tego światła: srebrzyste, rozedrgane skokami drobnej fali.

— Jak myślisz, Thraen, czemu ono tak błyszczy? — zapytał rozspanym głosem; było mu dobrze, jutro miało być takie samo, pojutrze i popojutrze — pełne nieznanych przeżyć, nowych radości. — Czy to możliwe, żeby słońce przebijało przez wodę?

Odpowiedź nie była właściwie ważna, ale zdziwił się, że jej nie otrzymał; po raz pierwszy zdarzało się, by Thraen mu nie odpowiedział. Siedzieli chwilę w ciszy, wiatr — dotąd niewyczuwalny — nagłymi porywami przemiałał piasek plaży, dotykał skóry szybkim, chłodnym muśnięciem. Vaine poruszył się, przewyciężając zmęczenie, przybliżył do Thraena, wsparł łokciem o jego uniesione kolano; ciepło tego silnego ciała wydawało się bronić przed chłodem. Ale już wkrótce nowy podmuch wiatru przejął go dreszczem.

— Zimno mi, Thraen. Schowajmy się do szałas, chcesz? Nie spojrzął nawet — jak gdyby nie usłyszał; nie zwracał teraz wcale uwagi na Vaine'a, pochłaniało go coś innego; chłopiec wyczuwał ramieniem wzrastające napięcie jego ciała; Poczul mały skurcz serca, ukłucie niepokoju, jeszcze dość dość niejasnego, nie uzasadnionego niczym.

— Zimno mi, Thraen — poskarżył się po raz drugi. Nieruchoma aż dotąd, jak całe ciało, ręka, podniosła się, objęła Vaine'a — w odruchu, którym Thraen przycisnął go do siebie nie było serdeczności; zrobił to nieuważnie, jak gdyby Vaine nie obchodził go wcale, jakby stał się kimś obcym.

Próbował wmawiać sobie, że wszystko jest w porządku, ale nie było — zaczynał to rozumieć, choć nie pojmował, skąd bierze się w nim ta pewność. Popatrzył w górę, we wciąż jeszcze, mimo zapadającego zmroku, dobrze widoczną twarz; twardy profil rysował się nieruchomo — Thraen nie poruszał się, nie drgnął, wpatrzony martwo przed siebie; nic z rzeczy dziejących się tuż przy nim nie docierało do niego.

— Thraen? Na co tak patrzysz, Thraen? — Odczekał trochę, a gdy i teraz nie było odpowiedzi, dorzucił gorączkowo, starając się zagłuszyć coraz większy niepokój: — Dlaczego nic nie mówisz? Co się stało? Nie śpij tak... z otwartymi oczami. Mieliśmy jeść kartofle... Już się chyba upiekły. Na pewno już są dobre... Puść mnie, wyjmę je z żaru, spróbujesz. No, puść... Ręka oswobodziła jego barki tak samo obojętnie, jak go przygarnęła. Poczul chłód — dokuczliwszy niż przedtem, skulił się, wciągnął głowę w ramiona. Milczenie Thraena zaczynało budzić nieokreślony lęk; coś się zmieniło, czuł się tak, jakby miało wydarzyć się coś niedobrego. Przysunął się do ogniska — popiół, ciągle jeszcze gorący, ogrzewał zdrętwiałe palce, kiedy zaczął rozgarniać go patykiem. Trafił wreszcie na upieczony kartofel; zwęglona skórka pękła pod naciskiem drewnianka, białe, dymiące wnętrze błysnęło w mroku, bijący od niego zapach sprawił, że Vaine poczul ślinę napływającą do ust — był strasznie głodny, ostatni raz jadł przecież przed południem, potem, przez cały dzień, ani razu nawet nie pomyślał o jedzeniu. Ale Thraen — być może — jadł jeszcze dawniej i był bardziej głodny od niego. Powiedział:

— Thraen, chodź, to dla ciebie. Ja zaraz znajdę sobie drugi.

Kartofel parzył, więc dmuchając zaczął przekładać go z ręki do ręki. Dym gryzł w oczy. Thraen nie zbliżał się, nie odzywał, jakby nawet jedzenie przestało go obchodzić. Lecz gdy Vaine się odwrócił, zobaczył, że tamten podniósł się z ziemi; stał teraz, nieruchomy — ciemna sylwetka na tle jaśniejszego nieba. Wyglądał, jak gdyby nasłuchiwał tego, co działo się w nim samym i dla nikogo poza nim nie mogło być słyszalne.

— Thraen?

Tym razem odpowiedział; jego głos wydał się obcy — chrapliwy i bezdźwięczny, dochodził z góry, jak gdyby zewsząd i znikąd, Vaine miał wrażenie, że mówi morze, niewidoczne krzaki wikliny i pociemniałe niebo, a nie stojący wciąż nad nim bez ruchu człowiek.

— Muszę już iść, Vaine. Teraz... muszę już iść. Vaine milczał, zaskoczony; a więc to wszystko nie miało trwać ani do końca lata, ani nawet — przez kilka dni. Poczul żal — gorzki, bezradny; kartofel, nagle nieważny, upadł z powrotem w popiół.

— Jesteś pewny, że to jest właśnie teraz? Że nie możesz zostać... ani trochę? Że zaraz musisz iść? W głosie Thraena słyszało się niecierpliwość:

— Jestem zupełnie pewien, Vaine.

— Dokąd?

Nasłuchiwał tak bacznie, że musiałby posłyszeć, gdyby odpowiedź była najcichsza, gdyby nawet nie była słowem, tylko mruknięciem, poruszeniem się w mroku. Ale jej nie otrzymał. Z resztką

nadziei powiedział prędko:

— Zjedz chociaż przedtem. Nie możesz iść głodny. Zjedz. To ci nie zajmie dużo czasu. Zdążysz... tam gdzie masz iść... — w miarę mówienia tracił wiarę w skuteczność własnych słów: — To tylko parę minut... Czekał, ale nie doleciał go choćby oddech; tylko wiatr przesypywał drobinki piasku, tylko ostra, wydmowa trawa szeleściła gdzieś obok. Dziecinnie i z rozpaczą rzucił w milczącą ciemność:

— Nie możesz? Nawet tego nie możesz, Thraen? — i z nagłą determinacją: — Dobrze. W takim razie — zaczekaj. Pójdę z tobą.

— Zostań.

— Thraen!

Poruszył się w ciemności, a potem — jak gdyby pchała go jakaś niezależna od niego siła — zaczął iść. Na jego drodze znalazło się wygaszone ognisko, przekroczył je jednym krokiem. Nie zwalniając ani nie przyspieszając szedł w stronę przybrzeżnych skał, o które rozbijały się dłuższe od innych fale.

— Thraen!

Przystanął nagle — jakby wołanie Vaine'a starło się z tamtą siłą. Przez chwilę wyglądało, że się waha. Potem przemówił — głos zabrzmiał martwo, udręczony i obcy.

— Zapomnij o mnie, Vaine. Nie myśl... Wracaj do domu.

— Thraen!

Ale Thraen szedł już znowu. Vaine, odruchowo, ruszył za nim; gdy stopy natrafiły na chłodny piasek, zatrzymał się, czując, jak serce podchodzi mu do gardła. Thraen szedł w stronę morza. Przez chwilę czuł tylko strach: mdlący, oślizły, zapierający oddech, tępy uciskiem wypełniający przestrzeń między żebrami. Potem pobiegł; bał się coraz to bardziej: zapadającej ciemności, morza i śmierci przyczajonej pod jego ciemną powierzchnią, ale nie mógł przecież pozwolić, by Thraen szedł tam — sam. Dogonił go w połowie pustej, przemiatanej wilgotnym wiatrem plaży. Nogi grzęzły mu w piasku, trząsł się z zimna i strachu; gdy uczepił się ręki Thraena, szczekał zębami tak, że nie mógł mówić. Tamten — jak gdyby wcale nie poczuł jego palców — szedł dalej, ciągle ku zatrutemu morzu. Czepiając się oburącz, przerażony, wparł się nogami w piasek, z całej siły starając się Thraena zatrzymać. Udało się: przystanął. Vaine dygotał, coś przeszkadzało mu w gardle, nie mógł wydobyć głosu; przełknął z wysiłkiem ślinę — nie pomogło. Stali tak obaj, smagani zimnym wiatrem, morze — dobrze już teraz, mimo mroku, widoczne — biło o plażę wachlarzem białej piany, monotonny szum fal potęgował uczucie grozy.

— Thraen... — przemógł się jakoś, choć powiedział to z trudem; słowa opornie wychodziły ze ściśniętego gardła. — Thraen, nie idź tam, proszę... Na tle bardzo już teraz ciemnego nieba Thraen wydawał się tak nieruchomy jak któryś z przybrzeżnych głazów; jak gdyby nie żył, jak gdyby nie oddychał.

— Muszę — powiedział tylko. Ruchem, w którym nie było nawet niecierpliwości, odsunął ręce chłopca, z obojętnością znacznie gorszą niż gniew. — Mówiłem: nie idź za mną. Wracaj. Zostaw mnie, Vaine.

Łzy — powstrzymywane z trudem, dręczące — zapiekły w oczach; Thraen odtrącał go także, tak jak inni, i to »«i bolało bardziej niż każda inna krzywda — może dlatego, że właśnie po nim się tego nie spodziewał. Mimo to przemógł się, powiedział:

— Ono zabija, Thraen. Nie idź. Zabije ciebie. Milczenie po tych słowach wydało mu się ciszą tak wielką, jak gdyby obok nie było szumu morza i w mroku nie oddychało dwóch ludzi. A potem Thraen przykucnął nagle; jego twarz, blado majająca w mroku, znalazła się naprzeciw twarzy

Vaine'a.

— Dlatego biegłeś za mną? Żeby mi to powiedzieć?

— Tak...

Teraz mógł już zapłakać; w głosie Thraena wreszcie nie było obcości i owego przerażającego w swej martwocie napięcia. Poczul rękę — dużą, niepewną, niezgrabnie dotykającą końcami palców jego wilgotnej twarzy.

— Vaine... Nie płacz, Vaine. Mnie... ono nie zabije.

— Skąd możesz wiedzieć?

Thraen poruszył się; to było tak, jakby poruszyło się zagęszczenie mroku. Przeciągnął rękę po czole jak ktoś, kto stara się sobie coś przypomnieć. Widocznie nie potrafił, bo powiedział z wahaniem:

— Nie wiem — skąd... ale tego jestem zupełnie pewny. I wiem, że muszę tam iść. Że... nie mogę inaczej.

— Tam, w morze? Nie, Thraen, nie!

— Tak. Widzisz... Nie, nie potrafię... — słowa padały wolno, Thraen wypowiadał je jakby z wysiłkiem. — Nie umiem d powiedzieć, po co ani dlaczego... Po prostu muszę. Ty... zostań. Dla ciebie ono... może być niebezpieczne. Więc nie idź już dalej, Vaine.

— Thraen, czy kiedyś... — chciał powiedzieć: „Zobaczymy się znowu”, ale nie umiał. I chociaż bardzo starał się przestać płakać, tego nie potrafił także. — Będę codziennie przychodził tu, na plażę... Może jakiegoś dnia... Wyobraził to sobie: zgęszczenie cienia, raz jeszcze przybierające z wolna kształt siedzącej postaci, coraz lepiej widocznej w plamkach słońca przesianych przez wąskie liście. Mimo że ciągle wstrząsał nim szloch, wyczuł nagłe zawahanie Thraena; znów było tak, jakby on próbował przeciwstawić się owej nieznanej i nieprzyjaznej sile, której rozkazy sprawiały, że mówił „muszę”. Potem westchnął;

Vaine zrozumiał, że owo „muszę” okazało się jednak silniejsze. Ręka Thraena — z ociąganiem i zalem — zmierzwiła jego włosy.

— Dobrze. Ale teraz już zostaw mnie. Idź.

Vaine usłyszał wyraźnie jego oddech — przez kilka sekund był jeszcze trochę nierówny, jak gdyby Thraen zmagał się z czymś w sobie samym, potem stał się spokojny i powolny jak oddech morza. Mężczyzna podniósł się; ciemniał nad nim nieruchomą sylwetką. Potem odwrócił się i — wymijając Vaine'a jak coś nieistotnego, ledwie zauważalną przeszkodę — zaczął iść znowu w kierunku wody połyskującej gładkim, antracytowym blaskiem. Nie posłuchał; wciąż trzęsąc się i kuląc — z zimna? — ze strachu? — z żalu? powlókł się za nim przez dziki, słony wiatr. Nie mógł nadążyć długim krokiem Thraena, zostawał w tyle. Pomimo to był dość blisko, by dostrzec, jak tamten zatrzymuje się nagle — już na samej granicy wody i piasku. Stał tak przez chwilę — jedna i druga fala podpełzła z szumem, zapieniała się wokół jego nóg. Wtedy zachwiał się i — zanim Vaine, biegnąc te kilka ostatnich metrów tak szybko, jak tylko potrafił, zdołał do niego dobiec — ukląkł i, bardzo wolno, próbując jeszcze wesprzeć się na wyciągniętych rękach, osunął na twarde, zmywany falami piasek; wachlarz cofającej się piany na moment zakrył go całkiem.

Chłopiec dopadł go i próbował odciągnąć. Ale ciężkie, bezwładne dało wysunęło mu się, jakby nieznana siła przyciągała je ku mokremu piaskowi. Pomyślał, że może to on osłabł, bo zadyszał się, biegnąc. Odczekał chwilę. Spróbował po raz drugi — w nagłym przerażeniu stwierdzając, że tym razem nie może go już chwycić, jak nie można ująć w ręce ciemności ani światła, płynącej wody, powietrznego prądu. Miał wrażenie, że ciało Thraena staje się mniej widzialne, zaciera się i niknie — kształt zamazywany przez ciemność, jak słowa napisane na piasku zaciera gwałtowny wiatr.

Pochylił się nad ledwie dostrzegalną twarzą przyjaciela.

— Powiedziałeś, że ciebie nie zabije... A jednak... — nie wiedział, że coś może boleć aż tak. — Ja nie chcę... nie chcę, żebyś ty umarł. Thraen.

Tamten poruszył się; ten ruch bardziej czuło się, niż widziało — zgęszczenie mroku wyznaczające aż dotąd miejsce, w którym się znajdował, istotnie z każdą chwilą stawało się mniej wyraźne, czarna sylwetka na tle piasku zaczęła robić się mglista, coraz mniej materialna. Ale głos brzmiał spokojnie, kiedy powiedział cicho:

— Ja... nie umieram. Ja... po prostu... odchodzę.

Szept także był coraz słabszy, roztopiał się, nikał. Przez chwilę słyszeć było tylko świst wiatru i szum morza.

A potem Vaine zdał sobie sprawę z tego, że znowu płacze: po jego twarzy płynęły ciche łzy. Wytarł je spiesźnie.

— Posłuchaj — powiedział płacząc. — Będę na ciebie czekał. Więc wróć. Wróć do mnie, Thraen, proszę. Fala, cicha i senna, podpełzła do stóp chłopca, niecierpliwym jęzorem oblizując cienkie podeszwy sandałów. Nie poczuł tego, a więc się nie przestraszył. Powtórzył:

— Wróć, Thraen. Jesteś mi taki potrzebny... Ja, widzisz, nie tylko lubię dębie... — i ciszej, tak, żeby nawet Thraen nie mógł tego usłyszeć: — Nie tylko lubię... Bardzo. Fala dotknęła go po raz drugi i cofnęła się znowu. Nie mogła mu nic zrobić; chociaż nie wiedział o tym i chociaż — gdyby wiedział — nie obesłoby go to ani trochę, ochraniało go coś, co — skuteczniej niż skafander, o jakim marzył rano — mogło przeciwstawić się zabójczemu działaniu zatrutego morza. Było już całkiem ciemno, mrok zatarł linię horyzontu; Vaine — wyężając oczy — nie zdołał już zobaczyć nawet twarzy Thraena: na mokrym piasku nie widać było żadnego ruchu, nawet czarna woda dotykająca znikającego kształtu zdawała się nieruchoma, szum fali był jak oddech.

— Wrócę — powiedział nagle, niespodziewanie Thraen, niewidoczny, zatapiany przez morze, wiatr i mrok. — Na pewno wrócę, Vaine.

Vaine — drżąc ciągle — schylił się i, macając na oślep — zaczął szukać w ciemności tego, co jeszcze było Thraenem. Ale jego ręczki natrafiały tylko na małe, krągłe kamienie i gruboziarnisty żwir. Przysiadł na piętach; siedział tak chwilę, mały i przestraszony, zagubiony w ciemności. Kiedy się wyprostował i znów spojrzął na piasek, nie zobaczył już na nim żadnego kształtu; Thraen rozwiął się, rozplynał, jakby nawet ślad jego istnienia został wchłonięty przez morze.

— Dwieście siedemdziesiąty czwarty — szczeknął sucho automat. — THRAEN V-L 864359.

Thraen przymrużył oczy; w mlecznej poświacie wirowały nad jego głową jaskrawe światła, ich blask paraliżował zdolność myślenia. Usiadł, lampy cofnęły się, odpływając na niklowanych łapach cicho i szybko, jakby wessane przez mrok. Zaczynał widzieć: dwie blade plamy, nachylone ku niemu, stawały się twarzami, w otaczającym go pomieszczeniu rozpoznał znane skądś laboratorium.

— Gdzie jestem?

— To nie jest ważne — gdzie... Powinieneś zapytać raczej, kim my jesteśmy. Albo — kim jesteś ty sam.

— To, które z pytań wybiorę, jest bez znaczenia? Jeżeli tak, jest tylko jedna rzecz, o którą należy pytać.

— Słusznie. Wiedzieliśmy, że na to wpadniesz. Jesteś — jak my — znacznie inteligentniejszy od ludzi. I zawdzięczasz to nam.

— Powiedziałeś: od ludzi. Ale ja jestem człowiekiem.

— Nie. Jesteś fantomem. To chyba wiesz.

— Tak. Chyba... choć nie rozumiem skąd. Ale to tylko nazwa. Nic więcej. Myślę i czuję jak człowiek.

— Bo ukształtował cię mózg człowieka, jego oczekiwania, tęsknota... Na razie — tylko w ten sposób możemy stwarzać istoty swego gatunku. Ale to nie jest ważne. Przyszłość należy do nas. Zaludnimy morza i oceany Ziemi. Kiedyś — oceany wszystkich planet Wszechświata, nawet tych znajdujących się w systemach najodleglejszych gwiazd. Potem przystosujemy ekosfery tych planet do naszych potrzeb. Wyjdziemy z oceanów na ląd. Zwyczajne prawo ewolucji... Nie będzie dla nas przeszkod. Jesteśmy przecież nieomal niezniszczalni... oni powiedzieliby chyba: nieśmiertelni...

— A ludzie? Co będzie z ludźmi?

— Oni cię nie powinni obchodzić.

— Jednak obchodzą. Nie wiem dlaczego, ale tak właśnie jest. Więc odpowiedz. Co z nimi?

— Oni się już skończyli.

— Wy...?!

— Nie. Oni sami. Zniszczyli samych siebie, w chwili, w której zaczęli niszczyć środowisko swojej planety. Zatrute morza... Po prostu — oni nie są gatunkiem, który mógłby panować. Głupcy, bawiący się kolejno rzeczami, które ich przerastały, których działania — do końca — przewidzieć nie potrafili. Promieniotwórczością. Energią jądrową. Nienawiścią...

— Powiedziałeś...

— Tak: nienawiścią. Nie przyszło im do głowy, że nie jest ona tylko jednym ze stanów ich małych, śmiesznych duszyczek, że — w odpowiednich warunkach — może krystalizować, zmieniać się w ciało stałe. Zachowujące całą zabójczą siłą ich pragnień i ich myśli. Tylko że — po zmaterializowaniu — już nie podległa im w żadnym stopniu, wyzwoloną jak wybuch atomowego jądra, które umieli rozbić, ale którego niszczycielskiej sile nie mogli nic przeciwstawić.

— Nie wszystko można przewidzieć.

— Powinni. Ale oni nie byli w stanie myśleć, wyciągać wniosków z posiadanej już wiedzy; wiedzieli przecież, że — kiedy czują strach — ich nadnercza wydzielają adrenalinę. Ale zastanowić się nad tą zależnością — uczucia i całkiem materialnego czynnika, pójść o krok dalej, pomyśleć, że inne z ich uczuć może rozpocząć zmiany w otaczającym ich świecie — tego nie potrafili. Milczysz. Wciąż jeszcze chcesz ich bronić?

— Jeszcze nie wiem. Mów dalej. Wy ich nienawidzicie?

— Zostaliśmy stworzeni właśnie do nienawiści.

I przez nienawiść. Ostatni z tych, którzy umierali tu, w morzu, przekazali nam swoją. Tak bardzo bali się, żeby nie sczeźła razem z nimi... Mieliśmy kontynuować ich dzieło. Kiedyś. Kontynuujemy. Choć może nie całkiem tak, jak oni tego pragnęli... W ciszy, która zapadła, usłyszał bicie swego serca. Kiedy tak słuchał, poczuł nagły niepokój — z początku ledwie uchwytne, potem nasilający się z każdą chwilą.

— Chcę stąd odejść — powiedział.

— Dlaczego? Przecież... ty jesteś jednym z nas.

— Nie.

Teraz już wiedział, skąd bierze się ten niepokój — to była świadomość, że ktoś mu zaufał. I że na niego czeka.

— Chłopiec — powiedział. — Ten na brzegu. Muszę być z nim.

— Nie musisz. Tylko przez kilka godzin od twojego powstania jego prądy mózgowe stanowiły pole stabilizujące twój układ. To już minęło. Nie jest ci więcej potrzebny.

— W tym sensie... tak. Wiem. Czuję. Mogłem od niego odejść.

— Widzisz. To też wyliczyliśmy bezbłędnie w swoim programie. Nic cię więcej nie zmusza...

— Właśnie dlatego chcę wrócić. Ty tego nie zrozumiesz. Nie możesz.

— Twoje miejsce jest tu. Jesteś jednym z przedstawicieli rasy superrozumnych. Jedynej, jaka może podporządkować sobie świat.

— Nie. Myślę... czuję inaczej. Dlatego... nie będziecie mi mogli przeszkodzić. Chcę odejść. Kiedy to mówił, spostrzegł, że jego ciało staje się półprzejryste; przez własne ramię, jak gdyby było smugą dymu unoszącego się w świetle, widział kontury przedmiotów. Zamknął oczy i opadł w tył, na miejsce, w którym ocknął się nie tak dawno. Nad sobą słyszał głosy — nie obchodziły go, ale nie mógł sprawić, aby nie docierały do niego:

— Musieliśmy przeoczyć... Coś, co jest w nich, ludziach. W mniejszym czy większym stopniu, ale jednak nieomal w każdym... Coś, co stanowi przeciwieństwo, działa na nienawiść... jak zasada na kwas. Zobojętnia ją.

— Tak, chyba... Ale... co to właściwie jest?

— Nie wiem. Nie umiem tego nazwać. Nie potrafię zrozumieć. Nigdy się z tym nie spotkałem...

Odchodził coraz szybciej; nie mógł już unieść powiek, nie potrafił się ruszyć. Ale wciąż jeszcze słyszał:

— Jeśli tak jest istotnie, nie mamy szans.

— Gdyby tak było zawsze, nie byłoby ciebie i mnie. My także powstaliśmy z ludzkich pragnień, z prądów ludzkiego mózgu. A to oznacza... To tylko kwestia czasu. Może trzeba go bardzo dużo, ale przecież muszą trafić się tacy, w których jest tylko to... Którzy to nie mają w sobie nic poza nienawiścią. Każdy z nich będzie dla nas szansą...

Pod powiekami zobaczył morze — wzburzoną, nefrytową falą wybiegało na plażę. Wiatr porywami przemiałał piasek, wrywał go korzeniom zeschniętych, wydmowych traw. Obraz był jeszcze mglisty, ale z każdą chwilą nabierał barw; pod gałęziami wikliny, srebrzystymi w tym wietrze, ciemniał niewielki szałas z wyschniętych, cienkich gałązek. Był już tam prawie, ale zanim odszedł ostatecznie, usłyszał:

— To był dwieście siedemdziesiąty czwarty. Ilu ich stworzyliśmy dotychczas?

— Wiesz przecież dobrze. Dwustu siedemdziesięciu czterech. Wszyscy odeszli...

— I żaden z nich... już nie wrócił?

— Żaden.

Wnętrza szałasu nie przenikał już cierpki i duszny zapach więdnących liści; zeschnięte, pokurczone, szeleściły sucho przy nieostrożnym dotknięciu, rozkruszały się w palcach. Vaine — leżąc na podściółce z trawy — przez szpary między nimi patrzył w wysokie niebo; zdawało się ulytować coraz to wyżej i wyżej, w miarę jak jego barwa bladła w nadchodzącym upale. Tylko tu czuł się dobrze, szałas był teraz jedynym miejscem, w którym samotność dokuczała mu trochę mniej niż gdzie indziej. Mimo to podniósł się wolno i wypełził z jego wnętrza. Otoczenie tchnęło opuszczeniem i smutkiem; z uciskiem w sercu patrzył na ślady swoje i Thraena: wydeptaną trawę, zatarte deszczem ognisko, porzucony w zaroślach niebieski plastik. Gałęzie wiklin drżały, listki — jak zwykle — odwracały się jaśniejszą stroną do wiatru, nad srebrną w słońcu plażą z wrzaskiem

unosily się mewy. Brnąc w piasku wszedł na gładką, ubitą wiatrem przestrzeń; w oddali morze przewalało się ciemnozieloną falą, od horyzontu, ciemniejszego z wolna, nadchodził chyba szkwał. Zawrócił, choć nie bał się burzy ani deszczu; właściwie bał się teraz tylko jednego: momentów zwątpienia, kiedy zaczynał myśleć, że Thraen nie wróci nigdy. Obszedł ślad po ognisku i chwilę kręcił się wokół szałas, na próżno starając się znaleźć zajęcie mające choćby pozory celowości; wszystko, co mógłby robić sam, wydawało mu się bez sensu. W swojej wędrówce natrafił na mały, pusty plac — miejsce, które ogołocili z trawy i wyrównali, aby uzyskać dobry teren do gry. Przyglądał mu się w zamyśleniu, potem ukucnął, przeciągnął ręką po twardej, gładkiej powierzchni. Gdzieś tam kiełkowała już trawa — może nie wyrwali jej dość dokładnie, a może wiatr naniósł nowe nasionka. Przez jakiś czas wrywał ją zajadle. Ale źdźbeł było mało, ta praca nie mogła więc trwać długo. Przysiadł na piętach i w zamyśleniu przyglądał się przygotowanemu od nowa do gry placowi; wyglądało, jakby czekał na chwilę, w której potoczą się po nim szklane kulki. Vaine sięgnął do kieszeni — zaciążyły mu w dłoni, krągłe i twarde.

Rzucił — wahanie ręki udzieliło się kulkom, upadły blisko, nieruchomiejąc od razu. Pochylił się, zgarnął je, rzucił ponownie, tym razem prawidłowym zamachem całego przedramienia — kulki potoczyły się przez całą długość placu, uderzyły o siebie, zatrzymując się po przeciwległej stronie. Vaine pobiegł. Przykucnął nad kulkami, wyciągnął rączkę. Ale nie zdążył ich podnieść; nad swoją własną zobaczył drugą rękę, o wiele większą. Przez chwilę była tylko zgęszczeniem cienia; mógłby ją przebić swoją, jak patyk przenika wodę, jak ciało ludzkie przechodzi przez smugę mroku. A potem stała się znaną, silną dłonią z blizną między palcem wskazującym a kciukiem i ciemnymi włosami zarastających przegub.

— Wróciłeś — powiedział chłopiec.

— Tak. — Ręka zebrała kulki, znieruchomiła na chwilę, zaciśnięta w pięść. Odwróciła się dłonią ku górze, otworzyła — w jej zagłębieniu wyglądały jak krople błękitnego blasku.

— Gdzie byłeś? — zapytał chłopiec. I dodał zaraz (bo tamto przecież nie było wcale ważne): — Wiedziałem, że wrócisz. Musiałeś wrócić, bo na ciebie czekałem.

— Dlatego mogłem wrócić — odpowiedział poważnie Thraen.

Vaine wyciągnął małą i brudną rękę, zgarnął kulki z oczekującej na ten gest dłoni. A potem podniósł głowę i ciągle przykucnięty — popatrzył z dołu w schyloną nad nim, znajomą twarz.

— Zostaniesz? — spytał.

— Zostanę — potwierdził Thraen.

Vaine zobaczył, że Thraen się uśmiecha.

Węzeł

Ruchome schody metra wyrzuciły mnie — wraz z tłumem pasażerów linii Demetrius–Einstein — z ciepła i światła w wilgotną ciemność wczesnego, jesiennego zmierzchu. Wiatr szarpnął połami płaszcza, zawiewał drobną mżawką, mokre powietrze lepiło się do twarzy, wciskało chłodem pod wszystkie warstwy ubrania; skuliłem się odruchowo, przygarbiłem, wciągając głowę w ramiona i nastawiając kołnierz. Na szczęście do Instytutu nie było daleko; przyspieszyłem kroku, biegłem prawie, wyprzedzając zapóźnionych przechodniów, tak jak i ja umykających przed ciemnością i chłodem. Pod moimi nogami, na mokrych płytach chodnika, mdłym lśnieniem starego złota połyskiwały nieliczne spadłe liście; płaskie i żółte sprawiały wrażenie wyciętych z cienkiej blachy — nadeptując na nie oczekiwało się zupełnie podświadomie metalicznego chrzęstu. Nad wejściem Instytutu świeciła tylko jedna lampa; jej światło, przyćmione, słabe, rozmywało się w tęczującym kręgu szarpanej wiatrem mżawki, podobnie jak światła nielicznych latarni, nie oświetlając właściwie niczego, stanowiąc tylko miedzianą plamę w mroku, jako tako umożliwiającą orientację. W mojej rzeczywistości (odkąd wiedziałem, nie potrafiłem myśleć o tym inaczej — w każdej chwili świadomy możliwości istnienia innych, teoretycznie równie realnych, w których inny Swann nie tylko nie był docentem Instytutu, ale nawet fizykiem, w których — być może — nie było Instytutu w ogóle, a prawie na pewno viniculatora i moich badań. A nawet takich, w których ja nie istniałem wcale: nigdy nie urodzony, zmarły w dziesiątym roku życia na zapalenie płuc, zabity w wypadku drogowym, skazany za przestępstwo, jakiego tu nie umiałem sobie nawet wyobrazić — i sam już nie wiem co; możliwości było nieskończenie wiele). Nie o tym zresztą chciałem — zawsze ponosi mnie trochę, ilekroć zaczynam snuć takie rozważania. Wracając do tematu: w tej tu rzeczywistości — jedynej, jaką znałem i miałem kiedykolwiek poznać — przechodziliśmy właśnie kolejny kryzys energetyczny, zmuszający do oszczędności będącej już skrajnym skąpstwem; płynęła stąd konieczność ograniczenia, do pełnego minimum, wszystkich możliwych świateł. W mętym, mdłym blasku lampy przez długą chwilę usiłowałem trafić kluczem kodowym w zamek; zakląłem i wtedy poruszyło się coś w gęstym mroku; jeszcze nie kształt, sylwetka — po prostu jakby większe zgęszczenie ciemności w tym jednym miejscu. Choć ciągle nic nie widziałem, nic zobaczyć nie mogłem, wiedziałem, kto tam jest, kto — z cierpliwością niemożliwą do zrozumienia, prawie nieludzką — może czekać tak na mnie pod betonowym, poznaczonym zaciekami deszczu, wysokim murem.

— Res? — zapytałem, nie mając nawet nadziei, że mógłbym się pomylić.

Poruszył się — nie mogłem widzieć także i tego poruszenia, domyślałem się tylko; to było tak, jak gdyby poruszyła się ciemność. Wydało mi się, że słyszę jego oddech; ciężki, zdyszany, jak bywa oddech kogoś, kto właśnie doszedł niosąc zbyt duży ciężar, którego nawet u celu nie potrafi się pozbyć. Ale jego głos był spokojny, zwyczajny, gdy — z bardzo bliska — odpowiedział, łagodnie i niezwłocznie:

— Tak, to ja. Czekam.

I znowu niepojęta cierpliwość, uparta, niewzruszona — tym razem w brzmieniu głosu. Nie dodał,

na co czeka, nie musiał. Wiedziałem, tak jak on wiedział, że wiem. Poruszył się ponownie, nareszcie zobaczyłem ten ruch; zrobił krok w moją stronę, stał teraz w zasięgu bladego światła lampy, nie oświetlającej go prawie, sprawiającej to tylko, że jego twarz zarysowała się bladą plamą w mroku, płaską jak liście, które deptałem niedawno. Trwało chwilę, nim zdołałem dostrzec go całego — skulonego, z rękami wciśniętymi głęboko w kieszenie kurtki. Wyglądał na zziębniętego. Powiedziałem — chyba tylko dlatego, aby coś wreszcie powiedzieć:

— Tym razem czekasz długo.

Nie poruszał się, czekał. Może na dalsze słowa. Ale milczałem. Chwilę staliśmy naprzeciw siebie, zupełnie nieruchomi, oddychający tylko pospiesznie w mroku, a potem doszedł mnie znowu jego głos — płaski, matowy, pełen tej niepojętej, zwierzęcej cierpliwości:

— Długo... To przecież nie ma znaczenia. Wiesz, że nie ma. Muszę...

Przerwałem:

— Nonsens. Wiesz dobrze, że to czekanie nic nie da.

— Chcę tylko, żebyś poszedł. Żebyś raz to zobaczył. To, na co ja muszę patrzeć każdego dnia. Chcę tylko, żebyś to widział. Tylko tyle.

Gdybym był pewien, że tego nie dostrzeże, wzruszyłbym ramionami; nie ja ponosiłem winę, że ta codzienność, której już znieść nie mogłem, była jego, nie moja. To przecież oni... Zresztą nieważne. Nie chciałem mścić się ani nic w tym rodzaju: ja po prostu nie mogłem. Nie mogłbym nawet wtedy, gdybym to miał być ja.

— To nic nie zmieni. — Nie wiedziałem, że aż tyle zmęczenia może być w moim głosie.

— Więc dlaczego odmawiasz? Boisz się? Kogo? Siebie? Wiatr dmuchnął znowu, przejął mnie zimnem, rozdarł na chwilę tęczący krąg mżawki okalający żółte, przyćmione światło, które niemal natychmiast roztopiło się znowu w wilgotnej mgle.

— Swann?

Jak długo można? — pomyślałem z nagłym znużeniem. — Jak długo jeszcze możemy się w to bawić — on i ja? Jego cierpliwość zdawała się niewyczerpana może dlatego, że — już od dawna pozbawiona nadziei — była tym jednym, do czego wciąż jeszcze był zdolny. Jedyne, co potrafił — to czekać, milcząco, każdego dnia, czekać wyłącznie po to, aby móc znowu przez chwilę przypominać mi swoim widokiem... O czym właściwie? Że miałem — być może miałem — w ręku klucz do tajemnicy, która, jeżeli rzeczywiście istniała, mogłaby zmienić ich życie, kładąc kres jego męce i jego tępej rozpacz? Nie tylko — jego, jego męce... Poczulem się tym wszystkim bardziej jeszcze niż przed chwilą znużony. Powiedziałem, zanim naprawdę zrozumiałem, że to właśnie mówię (a potem było za późno; mój głos już przebrzmiał, rozwiął się w mroku i wilgoci mżawki):

— Dobrze. Jeżeli mnie przekonasz. — Nie wierzyłem w to ani trochę, dlatego mogłem pozwolić sobie na ten bezsensowny gest. — Wejdz.

Tym razem klucz trafił w zamek od razu; jak zawsze poczułem w palcach ledwie wyczuwalne, nie sprawiające mi przykrości mrowienie; po prostu sygnał, że przekaźniki działają i mój kod biologiczny poszedł do komputera. Gdy mrowienie ustało, pancerna płyta rozskoczyła się na dwie strony, na skośnej tarczy licznika zapęłgały fosforyzujące cyfry; trzydzieści sekund, nie więcej, potem wejście zatrzaśnie się bez względu na to, czy ktoś będzie znajdował się pomiędzy płytami. Jeden z wielu, zupełnie nonsensownych, sposobów zabezpieczenia. Jak gdyby ktoś, kiedykolwiek... Dobrze. To w końcu bez znaczenia. Nie musiałem przynaglać Resa ani uprzedzać. Do niedawna był przecież jednym z nas. Znał wszystkie sztuczki naszego Instytutu, jak znał korytarze, którymi szedł za mną w światłach gasnących zaraz po naszym przejściu. Kroki pobrzmiwały niegłośno pod wysokim sklepieniem, nie bałem się, że mogłyby wywabić kogoś spoza mijanych drzwi; o tej porze nie bywał

tu prawie nikt.

Po raz pierwszy przyjrzałem się dokładnie Resowi, kiedy obaj znaleźliśmy się już w naszej dawnej pracowni. W łagodnym, jasnym blasku (Instytut wyłączono z oświetleniowych restrykcji) wydał mi się szczuplejszy, bardziej mizerny niż dawniej; z wysiłkiem odsuwałem to słowo: wynędzniały. Jego włosy były prawie zupełnie siwe; siwizna, zaczynająca się wysoko nad skroniami, nad karkiem, przebłyskiwała także w niechlujnym, najwyraźniej od kilku dni nie golonym zarostcie, w gęstych włosach na piersi widocznych w rozchyleniu koszuli. Jak gdyby miał sześćdziesiąt, nie trzydzieści sześć lat. Zgarbiony, z rękami wciśniętymi ciągle jeszcze w kieszenie i głową wyciągniętą do przodu, jakby przeszkadzał mu wilgotny kołnierz kurtki, patrzył na mnie przekrwionymi oczami, a potem przeniósł wzrok na zajmujący nieomal całą ścianę viniculator. I nic nie mogłem poradzić na to, że, niespodziewanie — jak gdyby jego widok, znajomy obrót głowy i to przekrwienie oczu, tak dawniej czystych i jasnych, otwarło we mnie sprawy, o których nie chciałem myśleć, które, wierzyłem, udało mi się zapomnieć — zobaczyłem wyraźnie Nike. Jej śmiałe oczy, twarz małą i odważną, gotową wszystko znieść, wszystko przyjąć, a także — jeżeli będzie trzeba — wszystkiemu się przeciwstawić; taką, jak wtedy gdy przyszła mi powiedzieć, że już nie ja... że on... I jak tamtego dnia poczułem się jak zwierzę zapędzone w kąt, jak bity pies niezdolny bodaj wyszczerzeniem zębów próbować się obronić. W tej samej chwili Res — jak gdyby wyczuł, jakby mógł odczytywać swoje myśli — powiedział, spokojnie i niegłośno:

— Ona umiera, Swann...

To przecież wcale nie była moja sprawa, nie chciałem, żeby to była moja sprawa... Już dawno, pierwszego dnia, kiedy dowiedziałem się o tym — nawet nie pamiętam od kogo — powiedziałem sobie, że nie dam się w to wciągnąć, nikomu, a przede wszystkim nie jemu i nie jej. To mogło mnie dotyczyć, ale nie ja wybrałem, nie ja zdecydowałem — owe trzy lata temu. I broniąc się przed tym wszystkim, co Res próbował mi swoimi słowami narzucić, odpowiedziałem prędko, szorstko — jak chyba w takiej sytuacji nie odpowiedziałbym nigdy komuś innemu:

— Wiem.

Udało mi się powiedzieć to w ten sposób, żeby zabrzmiało jak zatrzaśnięcie drzwi. Ale na Resie nie zrobiłem wrażenia; po prostu stał i patrzył — na mnie czy na viniculator? — i w tym patrzeniu wyczuwało się znowu niepojętą, aż niewiarygodnie wielką cierpliwość.

— Umiera na chorobę rażeniową. Pewnie powiesz, że to wiesz także.

Ze znużeniem, szyderczo czy z pretensją — jak to zostało powiedziane? Znowu poczułem się jak zwierzę — przyparte do ściany, zapędzone w kąt... Jakbym to ja był winien, że nasz świat oszalał te czterdzieści lat temu doprowadzając do trzeciej wojny światowej. Jakbym ja był szaleńcem, który dopuścił użycie broni neurinowej, co spowodowało skażenie całej powierzchni globu, a w konsekwencji występowanie tej potwornej choroby. W odruchu samoobrony wzruszyłem ramionami, starając się powiedzieć ironicznie i twardo:

— Żałuję, ale nie jestem lekarzem, Res.

Nie odwrócił się, nawet na mnie nie spojrział. Nie musiał. Wiedział, że trafi, jak ja wiedziałem, że teraz tym uderzy:

— Współczesna medycyna nie leczy choroby rażeniowej, jak o tym dobrze wiesz. Może mogłaby. Ale w tym tylko ty możesz pomóc. Jeżeli zechcesz. Popatrzyliśmy obaj, w tej samej chwili, na przeciwległą ścianę, pod którą — ciemny i cichy, na jałowym biegu — czerniał viniculator. Res od początku, nawet wtedy gdy milczał, o to właśnie mnie prosił. Jeszcze niedawno, tam, na ulicy, w mżawce, byłem zupełnie pewien, że wszystko, co mi powie, nie będzie mieć znaczenia. Byłem? Nic nie zmieniło się przecież.

— To jeszcze nie zostało do końca udowodnione, Res. Przyglądał mi się, jakby dopiero teraz zobaczył mnie naprawdę; kiedy tak patrzył, dostrzegłem nagły skurcz — nie do opanowania, szybki, ledwie zauważalny — który ściągał w dół lewy kąt jego ust; to znałem także, oznaczał u niego najwyższe napięcie, determinację.

— Ale ty sam jesteś już tego pewny — powiedział. Milczałem. Moje milczenie uznał za potwierdzenie tych słów.

— Tylko ty możesz pomóc Nice, nie lekarz — powiedział po raz drugi. — A w każdym razie — spróbować. To jest jedyna jej szansa, Swann...

Jak czuje się mężczyzna, któremu najbliższy przyjaciel, współpracownik zabierze... nie, nie — kobietę. Jedyne go człowieka, który mógł być bliski i ważny, to jedno, co sprawiało, że życie mogło mieć jeszcze jakiś sens poza pracą, to, co mogło budzić całą dobroć i czułość, do jakiej jest się zdolnym — zabierze nie dlatego, że chciał, że się o to postarał, lecz po prostu dlatego, że istnieje, że oddycha, że jest? A potem, kiedy ona umiera i nie ma dla niej ratunku, przychodzi z tym do ciebie, oczekując, że zrobisz wszystko — a „wszystko” w tym przypadku znaczy to, czego zrobić nie wolno, do czego nie ma się prawa — żeby ją uratować? Nie wiem, co mogłoby czuć ktoś inny. Ja byłem ogluszony. Tylko tyle. Aż tyle. Chyba dlatego nie potrafiłem zdobyć się nawet na protest. Słuchałem.

— ...boisz się? Nie chcesz? — nie podniósł głosu, choć fomie się wydawało, że słowa wznoszą się w krzyku, że są jak uderzenia pięści w kruchy gmach mojej wiedzy — być może rzeczywiście egoistycznej, skoro nikomu i na nic nie przydatnej, przynajmniej dotychczas. — Tylko ty możesz pomóc. Jeżeli znajdziesz „węzeł”. Tylko ty, ty i ten twój cholerny... viniculator.

Pracował ze mną — ile? Trzy? Cztery lata. Nie mogłem mu zaprzeczyć, nie mogłem go oszukać. Teorię probabilistycznie podzielnych rzeczywistości zaczęliśmy opracowywać razem — ja dokończyłem, kiedy już odszedł. Wtedy, gdy on i Nika... I zbudowałem viniculator, który moje badania mógł wcielać w życie, wykorzystać w praktyce. Dlatego tylko ja ponosiłem odpowiedzialność. Nie on. Ale miał rację. Jeśli ktokolwiek mógł pomóc, byłem nim ja. Bo byłem jak czarnoksiężnik w dawnych, naiwnych bajkach — mogący zmieniać zastaną rzeczywistość. To brzmi niesamowicie, ale jest całkiem proste. Teraz. Właśnie . od chwili, w której — dzięki viniculatorowi — udało mi się znaleźć praktyczne wykorzystanie hipotetyczno-węzłowej struktury rzeczywistości.

Przez długie wieki wierzono, że czas, jak strumień, płynie w jednym korycie i w jedną stronę, a czasorzeczywistość jest constans. Marzono o tym, aby zbudować pojazd umożliwiający poruszanie się w czasie — „wybieganie w przód” albo „powrót do źródeł”; tym, którzy mieli posłużyć się takim urządzeniem, przypadać miała rola obserwatorów; zakładano, że nic i nigdy w istniejącym już ciągu zdarzeń nie może być zmienione. W śmielszych teoriach przeczuwano co prawda możliwość sterowania, kontrolowania procesów zachodzących w czasie poprzez działanie z zewnątrz, jak gdyby spoza czasu. Ale, po pierwsze — były to na ogół koncepcje niezbyt sprecyzowane, po drugie — nigdy nie spróbowano zrealizować ich w praktyce, panicznie bojąc się konsekwencji takiego działania, chaosu, jaki mogłoby spowodować, określanego wymownie nazwą „chronokataklizmu”. Straszono samych siebie „paradoksem pradziadka”: co by się stało, gdybym — wracając w przeszłość — zabił swego pradziadka, zanim on jeszcze stał się ojcem dziadka, a ten — mojego ojca. To miał być ów „paradoks”. W istocie — jak dowiódł Demetrius, kładąc podwaliny pod moją teorię wielorakiej czasorzeczywistości — paradoksalne było już samo założenie, że wśród rządzących się żelazną konsekwencją praw natury możliwe są jakiekolwiek działania wykluczające siebie nawzajem. A zatem: albo powrót w przeszłość musi być niemożliwy, albo też żadne czyny wówczas popełnione niczego w istniejącej rzeczywistości zmieniać nie mogą.

Błąd leżał, oczywiście, w przyjmowaniu za pewnik, że czasorzeczywistość jest jedna, w

ostateczności — że istnieją w czasie „rzeczywistości równoległe”, w których zdarzenia, wynikając z siebie, tworzą jak gdyby jeden, niezmienny ciąg. Tymczasem, jak wiadomo, czas nie biegnie w jedną stronę, jakby po linii prostej, lecz — tak jak światło — rozchodzi się we wszystkich kierunkach po niezliczonej liczbie takich linii, poczynając od punktu zerowego, którym, prawdopodobnie, są narodziny naszego wszechświata. Ja z kolei zdołałem udowodnić, że czas — rozprzestrzeniając się w nieskończoność — zawiera w sobie niezliczoną ilość rzeczywistości, realnych bądź hipotetycznych. Wracając do przykładu z pradiadkiem: gdybym go zabił, nie wydarzyłoby się nic; nic, w rozumieniu mojej, realnej dla mnie rzeczywistości. Moment zabójstwa stałby się bowiem jedynie, bodźcem tworzącym „czasowy węzeł” — miejsce, w którym rozwidła się rzeczywistość, dająca tym samym w rezultacie tę już istniejącą — która zawiera i nadal będzie zawierać mnie z dziadkiem, pradiadkiem i wszystkim, czego potrzeba było, abym mógł się zrealizować — i drugą, nowo powstałą, aż do tej chwili tylko hipotetyczną, w której śmierć pradiadka wyklucza wszelkie zdarzenia przez niego spowodowane, a więc i mnie.

Realna rzeczywistość dzielić się może w każdej chwili (a raczej — w każdym węźle czasowym, to jest — chwili decydującej, w której dokonano znaczącego wyboru; nie każde działanie bowiem prowadzi do podziału) na tyle, nazwijmy je umownie: „podrzeczywistości”, ile wariantów jest zdolne stworzyć to wydarzenie. Probabilistyczne rzeczywistości tworzą tym samym coś zbliżonego do bardzo skomplikowanej siatki; każda ze składających się na tę siatkę linii, napotykając swój kolejny „węzeł”, będzie dzielić się znowu; struktura hipotetycznych rzeczywistości daje się więc porównać do niezliczonych, przeplatających się z sobą, krzyżujących pajęczyn — jakiejś „pajęczynowej kuli”; hipotetycznych rzeczywistości w czasie jest nieskończenie wiele, a każda z nich zawiera niemal nieskończoną ilość rozwiązań i wariantów — także hipotetycznych. Moment wyboru jest jednocześnie określeniem jednej spośród niezliczonych rzeczywistości możliwych, tej, jaka poprzez ów wybór rozpocznie się realizować. Aby uzyskać więcej realnych wariantów, należałoby zatem — też wariantowo — powtarzać ową czynność (zabić pradiadka, nie zabijając go jednocześnie) — co, jak wynika chociażby z tego przykładu, możliwe bywa tylko przy wędrówce wstecz.

To był krok pierwszy, pierwszy etap mych badań, w całości poświęcony analizie retrospektywnej. Jej wyniki zacząłem realizować w praktyce: zbudowane przeze mnie urządzenie (od słowa określającego „węzeł” w jednym z martwych języków, nazwane „viniculatorem”) potrafiło znaleźć w przeszłości węzeł czasowy prowadzący do określonego podziału, a jednocześnie wysłany za pośrednictwem vinculatora impuls podział urzeczywistniał. Sięgając w czas miniony, powtarzając czynności już kiedyś wykonane (wariantowo, oczywiście) mogłem dowolnie rozszczepiać rzeczywistość, tworząc wciąż nowe. Stworzyłem ich z kilkadziesiąt, zanim pojąłem, że to są prace nikomu i na nic nieprzydatne. Wtedy zacząłem myśleć o zastosowaniu vinculatora do działań mogących zmieniać przyszłość. Wiedziałem już na pewno, że działania w przeszłości nie mogą tu nic zmienić, skoro żadnej z istniejących rzeczywistości nie mogły one przekształcić czy „zawrócić”. Zacząłem myśleć o możliwości działań wyprzedzających, powiedzmy: nieznacznie wyprzedzających. Od dokonanego w jakiejś chwili wyboru zależy dalsza przyszłość; o tym wie każdy. Wniosek nasuwał się sam: „punkt węzłowy” odnaleziony w przyszłości będzie ją mógł odchylić, czyli po prostu — skierować w pożądanym kierunku. Vinculator pozwalał na wyśledzenie nie tylko przeszłych, ale i przyszłych „węzłów”. Pozostawało ustalić, czy — poprzez świadome ich wykorzystanie — da się kształtować dowolnie przyszłość. Zacząłem nad tym pracować, tworząc system pozwalający w określonych przypadkach na wybór tej z istniejących hipotetycznie, przyszłych rzeczywistości, która — z mego punktu widzenia — będzie najbardziej korzystna; inaczej mówiąc:

kształtować przyszłość zgodnie z życzeniami i oczekiwaniami tego, kto sięgnie w ową przyszłość.

To wszystko — zapisane słowami — wygląda dosyć mętnie. Zupełnie precyzyjnie, z całkowitą jasnością, można moją teorię wyrazić za pomocą wzorów matematycznych: czytając je dostrzega się od razu, jakie to w gruncie rzeczy oczywiste i proste. Aby być zrozumiałym bez uciekania się do matematycznych metod, posłużę się przykładem. Załóżmy, że za tydzień, przez nieuwagę, miałbym spowodować wybuch niszczący mnie i Instytut, mający sprawić, że i viniculator musiałby przestać istnieć. Lecz właśnie dzięki niemu już dziś zdolny jestem określić „węzeł” — ruch, chwilę, która ma doprowadzić do owego wybuchu. A znając je potrafię — nie przez przypadek, świadomie — owego wydarzenia uniknąć, sterując rzeczywistość zawierającą viniculator i mnie w kierunku, w którym taki jej wariant nie będzie mógł się zrealizować. Mówiąc inaczej: z hipotetycznych wybrać tę rzeczywistość, która zawiera nadal Instytut, viniculator i mnie. Tak wyglądała teoria — pozostawało potwierdzić ją w drodze praktycznych badań i prób. Ale już teraz byłem niemal pewien, że dzięki viniculatorowi będzie można w przyszłości wiele rzeczy zmieniać, spraw nieuchronnych odwracać. Próby, dokonywane w przeszłości, wykazywały przecież, że viniculator jest niezawodny — tak w sprawach wielkich, jak i zupełnie drobnych. To samo dotyczyło przyszłości: viniculator nie tylko mógł — jak szklana kula pokazująca przyszłość w baśniach i sagach — przepowiadać, ostrzegać. Mógł także działać. Też niezawodnie. Prawie. Bo działać tylko wtedy, gdy rzeczywistość zawierająca oczekiwany wariant istniała hipotetycznie w przyszłości. Wobec niemal nieskończonej ilości wariantów istniała prawie zawsze.

O tym Res wiedział i tego właśnie — działania — ode mnie się spodziewał. Czy może raczej: to na mnie miał nadzieję wymóc, wyprosić czy wymusić — nieważne przecież, jakiego słowa użyć. Po to tu przyszedł. Wiedział, że... nie; wiedział, jak ja kochałem Nike. A jednak mylił się w swoich rachubach; nie przyszło mu do głowy to, co najbardziej wyraża użycie czasu przeszłego na określenie moich dla Niki uczuć. Może po prostu nie zdążył się dowiedzieć, że to nie bywa wieczne i że można to zniszczyć w człowieku tak dokładnie, że nie pozostanie już nic. A musiałoby pozostać bardzo dużo, aby mnie skłonić do użycia viniculatora — już teraz — po to, by zmienić czyjś, jednostkowy los. Może ryzykowałbym, gdyby nieodwracalne niebezpieczeństwo zagrażało całej planecie, całemu mojemu światu. W każdym innym przypadku odmówiłbym kategorycznie. Nie z jakichś machiawellistycznych przyczyn. Nie miałem prawa, po prostu. Nie podaje się chorym nie sprawdzonego leku, nie wprowadza się w życie żadnego wynalazku nie zbadanego do końca — to przecież oczywiste. Działania w czasie przeszłym, dokonywane za pomocą viniculatora, nie wyszły jeszcze poza fazę doświadczeń, pierwszych praktycznych prób, więc — choć sam byłem przekonany o ich niezawodności — nie wolno mi było tego robić.

Niezależnie od mego prywatnego poglądu na tę sprawę obowiązywał mnie — jako człowieka Instytutu — bezwzględny i jednoznaczny zakaz. Musiałem go przestrzegać, jeśli nie chciałem zniszczyć całej swojej kariery, przyszłości naukowej, jedynej szansy kontynuowania badań. Na użycie viniculatora — już teraz — nie otrzymałbym zezwolenia. Może — gdyby istotnie kataklizm zagrażał całej ludzkości. Nie wtedy, gdy chodziło o życie jednej dziewczyny. I wszystko, co kiedykolwiek działo się między nami, wszystkie uczucia: moje, Niki i Resa, nie mogły tu nic zmienić, nie mogły mieć najmniejszego znaczenia. Nasze milczenie trwało już bardzo długo; zaczynało nam ciążyć. Podniosłem głowę i popatrzyłem w twarz obnażoną światłem, którą miałem przed sobą. On także patrzył uparcie, z ową spokojną i bezmierną rozpaczą, w której ani przez chwilę nie widziało się rezygnacji. Czekał. Jakby samo milczenie, niezakłócanie niczym mego toku myślenia (czy też determinacja w tym milczeniu zawarta) miały mnie zaprowadzić tam, gdzie on chciał. W jego oczach zobaczyłem napięcie — tak intensywne, skupione, że wydawało się fizyczną niemal siłą: przez

moment nie byłem pewien, czy potrafię odmówić. Przełknąłem ślinę (w ustach mi całkiem zaschło) i powiedziałem bardzo zdecydowanie:

— Nie.

Drgnął gwałtownie, tak prawie, jak gdybym go uderzył. Wciąż jeszcze patrzył na mnie, ale teraz nie obawiałem się już siły tego patrzenia. Wreszcie zapytał — powoli, z trudem; wielkie zdumienie słyszało się w tym pytaniu:

— Dlaczego? Dlaczego. Swann...? Przecież viniculator...

— Wciąż jeszcze nie został zatwierdzony.

— Ale ty... ty jesteś przecież pewien? Nigdy, żadnego... ubocznego działania... To formalność, nic więcej...

— Może. Ale viniculator jest częścią Instytutu. Jak wszystko tutaj, może zostać użyty tylko na wniosek Rady. Wiesz dobrze, że nie dostanę takiego polecenia.

Przez chwilę patrzył, jak gdyby mnie nie widział — przeze mnie, jakbym nie był człowiekiem, lecz czysto wymytą szybą; miałem uczucie, że przygląda się czemuś za moimi plecami tak intensywnie, że lada moment oczy zaczną mu łzawić. Potem powiedział — cicho, a przecież nie lękliwie; przekonanie, nieustępliwość słyszało się w jego głosie:

— Przecież... ty mógłbyś sam.

Uśmiechnąłem się? Nie wiem; skurcz twarzy, jaki czułem, mógł być podobny do drwiącego uśmiechu. Sam. Jak to się łatwo mówi. Jak łatwo decydować za innych, oczekiwać, że będą... Pomyślałem: wygodnie płacić własne rachunki czyjś kosztem. Tak. Za tę decyzję odpowiadałby nie on, lecz ja; wiedziałem dobrze, że samowola, złamanie zakazu Rady byłyby moją ostatnią czynnością w Instytucie. A potem — koniec. Badań, pracy, naukowej kariery... Niech diabli biorą karierę. Ale bez mojej pracy nie miałbym po co żyć; to było ostatnie, najważniejsze, co mi jeszcze zostało. Nikt nie miał prawa wymagać czy oczekiwać, żebym zniszczył samego siebie — nikt, a tym bardziej on. Oni. To już naprawdę było zbyt wiele; przychodzić tu i żądać... Trzy lata temu zabrali mi to, co wówczas liczyło się dla mnie najbardziej. Wtedy musiałem... nie miałem przecież wyboru, nie było dla mnie wyjścia. Ale to, co zostało — moja praca, Instytut — to, czym mogłem żyć jeszcze, było już tylko moje. I czując, jak zwierają mi się z wściekłości szczęki, powiedziałem raz jeszcze, nieomal z nienawiścią:

— Nie.

Wyglądał, jak gdyby nie usłyszał mnie wcale; wciąż patrzył tak... przeze mnie, przyglądając się uporczywie czemuś, co — nawet w tej chwili — było dla niego wiele ważniejsze niż ja. Prawie łagodnie, a jednocześnie z tępym, rozpaczliwym uporem, powtórzył znowu te same słowa, co na początku rozmowy:

— Dobrze. — (W miarę jak mówił, spokojne szaleństwo narastało w jego głosie). — Dobrze. Pójdź tylko tam i popatrz. Przyjrzyj się jej, teraz, ty, który ją podobno kochałeś. Tylko przyjdź i to zobacz. Potem — jeżeli zechcesz — możesz powtórzyć swoje „nie”. Jeżeli zdołasz... dam ci już spokój. Nie będę tu przychodził... Milczałem. Co mogłem odpowiedzieć? Na samą myśl, że mógłbym go posłuchać, iść, patrzeć na jej — rozwleczoną na tygodnie — agonię, wszystko kurczyło się we mnie; nie chciałem wiedzieć o niczym, widzieć niczego — chciałem, by dał mi spokój, pozwolił nie pamiętać.

Dostrzegłem, że przygląda się teraz mojej twarzy, patrzy, jakby się dziwił, jakby coraz bardziej się nade mną zdumiewał.

— Nie chcesz... — powiedział wolno; tymi słowami zdumiewał się od nowa. — Rozumiem. Nie chcesz. Nawet tego... ty nie potrafisz. Nie stać cię nawet na to. Teraz. — Umilkł, nie spuszczał ze

mnie oczu. — Jesteś... taki jak dawniej, nie zmieniłeś się nic. Pomimo... Bo to już chyba zrozumiałeś, że gdyby nie ta twoja... twój konformizm, ostrożność... Że to — wtedy — mogłeś być ty, nie ja? Zabrakło mi oddechu. Wiedziałem? Nie, nigdy dotąd nie pomyślałem, nie przyszło mi do głowy... To, co powiedział, było tak nowe i tak zaskakujące, że poczułem się jak ogłuszony. Potrzebowałem czasu, by się z tą myślą oswoić, zanalizować wszystko raz jeszcze, od początku... Nie dał mi. Jak dobry bokser, umiejętnie wykorzystując zamroczenie przeciwnika, po celnym uderzeniu przechodzi do następnych, jeszcze silniejszych ciosów, tak i on mówił, szybko i twardo, nie zacinając się już, nie dziwiąc jak poprzednio:

— Dobrze. Nie masz odwagi, nie chcesz. Więc ci opowiem. Popełniłeś błąd — jeżeli chciałeś zachować spokój, dobre samopoczucie — popełniłeś go pozwalając mi wejść. Bo będę mówił — o wszystkim, czego ty wiedzieć nie chcesz, o czym wolisz nie słyszeć. Powiedziałaś przecież — na początku, pamiętasz? — powiedziałaś: „jeżeli mnie przekonasz”. Spróbuję.

Za późno było przyznać, że tamte słowa powiedziałem zupełnie w nie nie wierząc, że — z mojej strony — było to tylko oszustwo, niezbyt czysty chwyt. Przeszedł przez pokój; na moment zatrzymał się pod ścianą, przy viniculatorze, potem — zdecydowanym ruchem — odsunął stojące przy nim krzesło, obrócił je, tak aby — siedząc — być do mnie zwróconym twarzą. Usiadł. Przez chwilę tkwił tam zupełnie nieruchomo, sztywno wyprostowany, a potem zamknął oczy, odchylił głowę wspierając ją o ścianę. Światła ślizgały się po jego postarzałej twarzy; z zaciśniętymi szczelnie powiekami wyglądał jak umarły — jak gdyby to on umierał, tutaj, nie Nika — sama, w tym jakimś miejscu, w którym ją pozostawił, w ich domu, w którym — na szczęście — nie byłem nigdy, którego nawet nie potrafiłem sobie wyobrazić. Zaczął mówić — tak jakby mówił do siebie, jak gdyby musiał to głośno wypowiedzieć — po prostu tylko dlatego, żeby to z siebie wyrzucić. Pomyślałem, że gdyby mnie tu nie było, on mówiłby tak samo — do światła, do viniculatora, do pustych ścian:

— Zaczęło się miesiąc temu. Te kurcze — wiesz, wyginające palce, sprawiające, że wyglądają jak szpony... Wiedziałem... od razu już wiedziałem i ona chyba także, myślę, od pierwszej chwili — tylko po prostu oszukiwała się jeszcze, jak długo mogła — chyba tak było jej łzej... Więc mówiłem, bo to chciała usłyszeć: że przejdzie, że to się czasem zdarza, każdemu — tak sobie, bez żadnego powodu... Takie kurcze. Potem, któregoś dnia, rano, jej włosy leżały na poduszce. Wszystkie. Czarny, ogromny kłęb. Wiesz przecież, jakie włosy ma... miała Nika. I ona... kiedy podniosła się i popatrzyła na te leżące pomiędzy nami włosy, osobne, nagle nie będące jej częścią... Spojrzała na mnie takimi oczami... Swann, to nie daje się opowiedzieć. To trzeba widzieć. Zobaczyć raz jeden w życiu — żeby już potem zawsze budzić się krzyżąc, żeby już nigdy nie móc zwyczajnie zasnąć... Więc nie śpię, żeby mojego krzyku, mojego przerażenia nie dokładać... do wszystkiego, co ona musi... co jeszcze będzie musiała znieść... Nie miał prawa. Naprawdę nie miał prawa zwałać na mnie jej strasznego konania, zmuszać, żebym przeżywał je razem z nimi, z nim... A jednak nie potrafiłem mu przerwać. Niezdolny mówić, niezdolny nawet się ruszyć, słucałem, zmartwiała z grozy, jego zająkłych słów, torujących sobie z największym trudem drogę z ogromnych głębin, jakich nie znałem i chyba nigdy nie miałem poznać. A on ciągnął po chwili dalej, wciąż jakby do siebie — nie wiedziałem, nie miałem pojęcia, że tyle męki może być w ludzkim głosie:

— Potem... potem na miejscu włosów zaczął wyrastać jej ten straszliwy puch, to coś, co czuje tak okrutnie, tak mocno, jak gdyby było obnażonymi nerwami, kielkującymi przez skórę, nagim mózgiem, któremu każde dotknięcie, zmiana temperatury, powiew — sprawia potworny ból... Nie mogła leżeć, nie mogła oprzeć już głowy na poduszce... Siedziała — przez całe dni i noce — zawsze tak samo, obejmując rękami kolana podciągnięte pod brodę, ani na chwilę nie przestając cierpieć — nawet wtedy, kiedy zastrzyki... Prawie nie śpiąc i — gdyby lekarze nie odżywiali jej siłą — nie

jedząc. I teraz, kiedy tu jestem, kiedy rozmawiam z tobą, ona siedzi tam także, z kolanami pod brodą, z rękami zaciskającymi się tak, że widzi się przez skórę wszystkie ścięgna i kości, i z tymi swymi oczami, które... w których... Zacinał się, przerywał, lecz właśnie nieporadność, z jaką próbował mi to wszystko opisać, sprawiała, że widziałem dokładniej, niż mógłbym widzieć, gdyby on dopowiadał do końca, nie pozostawiał tak wielkich marginesów mojej pamięci i mojej wyobraźni. Nika — zwinięta w kłębek bólu na jakimś łóżku, w jakimś pokoju... Twarz, w której brwi nie unosiły się już skośnie przy każdym uśmiechu, twarz, która już nie umiała się śmiać... Moja Nika... Umilkł, oddychał ciężko, jakby się dusił, jakby największym wysiłkiem był każdy skąpy oddech. Pot świecił mu na twarzy, oczy zapadły — on także zmagał się z sobą, ze swoim własnym cierpieniem, osobnym, niepodzielnym. Trwało długo, zanim mógł mówić dalej:

— Kiedy przychodzą na nią najsilniejsze ataki... zawsze nad ranem, gdy już niebo szarzeje i rozpoczyna się świt... klęka, stara się jak najdłużej nie krzyczeć, i — może właśnie po to, by móc wytrzymać, opanować ten krzyk — wpija w ścianę palce... Jakby to nie był tylko zupełnie gładki mur. Potem... w miarę jak ból się nasila... te palce zaczynają się kurczyć, zsuwają... A gdy nie może już dłużej, zaczyna krzyczeć... I ja, przysięgam ci, ja, który nie czuję przecież żadnego bólu i tylko patrzę na nią, tylko — razem z nią — co noc czekam na taki świt... chciałbym już wreszcie umrzeć. Rozumiałem go — lepiej, niż mógłbym się spodziewać; i ja nie mogłem już słuchać, tak jak on nie mógł patrzeć. A przecież wiedziałem, że to tak musi wyglądać, znałem wszystko ze sprawozdań medycznych, z czasopism i napomknień tych, którzy — jak Res — na własne oczy oglądali agonię swych najbliższych. Choroba rażeni owa zawsze przebiegała w ten sposób; czując lodowaty, ohydny dreszcz na karku myślałem nieraz nocą o tysiącach, może nawet milionach wijących się w atakach nieopisanych bólów na całej powierzchni Ziemi, codziennie, na kilka minut przed tym, nim rozpocznie się świt. Ale dopiero teraz wstrząsnęło to mną naprawdę. Tysiące, miliony ludzi... Wyobraźnia nie sięga tak daleko, nie można współczuć wszystkim, cierpieć z wszystkimi; oszalałby ten, który dokonać by tego zdołał. Może trzeba znać twarz, na której tężeje skurcz cierpienia, skurcz, jaki można sobie wyobrazić, bo choć raz w życiu, w mniejszym nasileniu, widziało się go na niej...

Myślałem o tym wszystkim, a Res patrzył na mnie, napięty, czujny — jak gdyby odgadywał, śledził tok moich myśli czekając, jakie wyciągnę wnioski. A gdy milczałem ciągle, powiedział nagle, gwałtownie, tak jak nie mówił jeszcze ani razu od początku rozmowy:

— I ty, Swann, mógłbyś to zmienić, mógłbyś temu zaradzić. Od ciebie zależy los Niki i... innych takich jak ona. Możesz... i — nie chcesz?

Nie byłem tego już tak zupełnie pewny. Jakby wyczuwał moje wahanie, dorzucił żarliwie:

— Jeżeli stchórzysz, nigdy nie będziesz mógł sobie tego darować. Ani zapomnieć. Czy rzeczywiście spokój, praca, Instytut, jego przepisy i Rada są dla ciebie tak ważne, że możliwości, jakie daje ci twój viniculator mają być zmarnowane? Czy rzeczywiście ileś milionów ludzi — i Nika między nimi — ma umierać dlatego, że jakieś urządzenie nie zostało oficjalnie zakwalifikowane do praktycznego użytku? — nie wyszło z fazy prób? Zastanów się, to nonsens!

Może miał rację? Może powinienem je użyć? Poczulem nagle, że pocał mi się ręce, policzek zaczął drgać ostrym, nerwowym skurczem — nie umiałem nad tym zapanować. Powoli, jakby ciągnięta siłą, nad którą także nie miałem żadnej władzy, moja głowa odwróciła się w prawo, spojrzałem na viniculator. Teoretycznie to było takie proste: należało odnaleźć — w terażniejszości lub w najbliższej przyszłości, tak bliskiej, by wyprzedzała śmierć Niki — węzeł czasowy zawierający szansę nadania naszej rzeczywistości pewnego odchylenia, inaczej mówiąc — po prostu zmienienia jej. Na to Res czekał, o to mnie prosił... Wyczuwając moje wahanie zaczął znów mówić — cicho, z ukrytą pasją; starał się przy tym patrzeć mi ciągle w oczy:

— Swann, pomyśl... Może jutro, pojutrze, może za dziesięć dni... ktoś, gdzieś, odkryje... Istnieje szansa, że mógłby odkryć — poprawił się natychmiast — szczepionkę, promienie, lek... sam w końcu nie wiem co; coś, co uratuje nie tylko Nike, ale i wszystkich... wszystkich, którzy tak jak i ona... Pomyśl, że może... ich śmierć, ich umieranie, ich męka — zależy tylko od ciebie. Odmawiając — skazujesz. Nie tylko Nike. Ich wszystkich. Wiedziałem o tym, zaczynałem tak właśnie pojmować, a jednak... Zabrakło mi oddechu, bo tak straszliwie, tak okrutnie — miał rację. Przypadek, zbieg okoliczności... Coś, co się może nie zdarzyć, lecz co ja mogę sprawić, urealnić moim działaniem... Tylko — czy miałem prawo? Czy ja naprawdę mogłem mieć takie prawo? Kim byłem, żeby...

W oczach Resa, śledzących bez wytchnienia wszystko, co działo się w mojej twarzy, dostrzegłem niecierpliwość.

Ale przemógł ją szybko. Powiedział — uparcie, z naciskiem, chociaż wciąż bardzo cicho:

— Pomyśl. Flemingowi przypadek z pleśnią też mógł się nie wydarzyć. Wtedy ci wszyscy, których uratowały antybiotyki... A gdyby ktoś mógł wiedzieć, wiedzieć wcześniej? Przyspieszyć ten przypadek? Wtedy penicylinę odkryto by sto, dwieście lat wcześniej... Ileś milionów, może — miliardów ludzi... Tylko że tego wówczas nikt nie potrafił zmienić, nikt nie umiał przyspieszyć... — Zaczerpnął oddechu, dorzucił jeszcze ciszej, już prawie szeptem, a mnie wydało się, że ten szept jest jak krzyk, że wibrują od niego ściany pokoju i ściany Instytutu: — Ale ty możesz! Po raz pierwszy w dziejach ludzkości. Od dębnie tylko zależy... Rozumiesz? Może dziś nawet — ktoś, całkiem blisko albo bardzo daleko, oddzielony ścianą czy oddalony o tysiące kilometrów; to przecież nie jest ważne — szuka ratunku, leku... Może dotarł dość blisko i znajdzie go bez ciebie, a może właśnie jeden ruch zaniechany, próbówka odstawiona na półkę, rezygnacja z jeszcze jednej, na pozór beznadziejnej próby... Dlatego, że ten ktoś nie wie, błądzi w ciemności... Ty możesz wiedzieć: dla ciebie i dla niego... I nie tylko to; możesz nieomal wszystko... Aż dotąd błądziliśmy, szukając po omacku, skazani na przypadek, od niego uzależnieni, bezradni — niezdolni móc, dopóki właśnie zbieg okoliczności nie włożył nam do ręki... Niezdolni wpływać na nic, niczego wiedzieć wcześniej, zanim mogło się zdarzyć... Wyzbyci wszelkiej władzy. Ty — po raz pierwszy — możesz. Swann, czy rozumiesz, co znaczy to jedno słowo? Możesz... Przez całe wieki ludzkość w swej bezradności, bezsile, tworzyła sobie bogów — wszechmogących, wszechwiednych — żebrała u nich cudu, odwrócenia nieodwracalnego, pomocy, wierząc, że oni — mogą. I zazdrościła im owej rzekomej siły, szukając, żywiąc ciągłą nadzieję, szaloną i niezłomną, że człowiek — kiedyś, dzięki poznaniu, własnej nauce i technice — stanie się bogom podobny, w tym samym stopniu wyposażony we wszechmoc i wszechwładzę. To mogło ziścić się teraz: dzięki memu odkryciu też zdolny byłem wiedzieć i — czerpiąc z owej wiedzy — odwracać nieodwracalne, kształtując ludzki los. Mit ziścił się i po raz pierwszy udręczony człowiek wołał, wymagał, żądał — już nie od bogów: hipotetycznych, dalekich, nie istniejących; od drugiego człowieka — chciej, możesz!

Odsunąłem gwałtownie krzesło — szurnęło po podłodze. Wstałem. Cień lampy przemknął po twarzy Resa, zatarł ją i jak gdyby odsunął na dalszy plan. Zaledwie to dostrzegłem; nie on był teraz ważny, liczyło się to tylko, co dotarło do mnie tak nagle, co zrozumiałem właściwie dopiero teraz, choć przecież przeczuwałem od dawna: viniculator czynił ludzi podobnych bogom, a w każdym razie czynił ich równie potężnymi, skoro, jak tamci, mogli odmieniać własny i cudzy los... Oddychałem z trudem; to wszystko było tak wielkie, dawało mi, człowiekowi, tak niepojętą moc... Musiałem do tej myśli przywyknąć, musiałem się oswoić z tym, co aż dotąd przeczuwałem chyba, ale co w pełni zrozumiałem dopiero w owej chwili: z moją własną wszechmocą. Milczałem, przytłoczony ciężarem zaufania i wiary, własną potęgą, której wciąż jeszcze nie potrafiłem unieść, której nie byłem gotów sprostać. Usta drętwiały, kiedy zacząłem mówić, formułowałem z trudem słowa — niewyraźne,

niepewne, jak ja sam:

— Res, ty chyba masz rację... Jeżeli... może się tyle... nie wolno zwlekać... Dobrze. Poszukam węzła. Zrobię, co będę mógł.

Kiedy to powiedziałem, poczułem dziwną ulgę; może, przez cały czas, coś we mnie chciało posłuchać Resa, użyć viniculatora wbrew rozsądkowi i wbrew wszelkim zakazom? Użyć już teraz i właśnie dla tej sprawy? Ale on nie mógł tego wiedzieć; przyglądał mi się bacznie, nie mogąc pojąć tej nagłej zgody. Zobaczyłem, że ręce mu się trzęsą, lewy kąt ust zadrgał znowu — tym nagłym, tak dla niego charakterystycznym skurczem.

— Na... prawdę? — przełknął z wysiłkiem ślinę, jeszcze nie mógł uwierzyć. — I nie wycofasz się? Później, kiedy ja już odejdę?

Zaprzeciłem powolnym ruchem głowy, ale on wciąż jeszcze nie wierzył — nie wierzył mi do końca. Po jego twarzy widziałem, że szuka w myślach czegoś, co mógłby dodać do swoich argumentów, czegoś, co mógłby mi ofiarować, czym — ostatecznie — zdołałby mnie przekupić. Znalazł.

Swann, słuchaj... Jeśli to zrobisz... Ja... Wiem, że ty ryzykujesz, że nie mam żadnego prawa... Ale jeżeli... i ona wyzdrowieje... to ja... obiecuję d... Nie rozumiałem. Jak mogłem nie zrozumieć? Ale nie rozumiałem, spytałem głupio, jakbym to oświadczenie chciał właśnie sprowokować:

— Co — ty?

— Ja... Swann, wtedy ja odejdę... Poczuję, że moja ręka zwiera się sama w pięść; jeszcze chwila, a byłbym go uderzył. A przecież ja, będąc na jego miejscu, też starałbym się kupić, wytargować to dla niej za każdą — także za taką cenę. Nie odrywałem oczu od własnej ręki zaciśniętej wciąż jeszcze; palce powoli rozwarły się, rozprężyły, dłoń ciężko i bezwładnie opadła w dół.

— Ty idioto... — powiedziałem z bezsilną furją. — Myślisz, że ja dlatego... Och, mógłbym chyba... Nic nie zrozumiesz, Res.

Pojął wreszcie. Że wygrał, że postawił na swoim, bo podjąłem decyzję i nic już więcej nie trzeba — bo już się nie wycofam, nie będę szukał wykrętów, by jednak nie dotrzymać. Nie wiedział tylko — nie mógł — że chodzi już nie tylko o Nike i o tę jedną sprawę. Przyglądał mi się chwilę, miałem wrażenie, że szuka jakichś słów. Nie myliłem się. Przez kilka sekund przygryzał wargi, potem powiedział zmienionym nagle, wyrażającym ulgę, chrapliwym ze wzruszenia głosem:

— Wiem, że moja wdzięczność nie może mieć dla ciebie żadnego znaczenia... Ale... dziękuję ci, Swann... Patrzyliśmy na siebie i cisza była taka, że słyszało się senny, ledwie zauważalny poddźwięk prądu w obwodach viniculatora. Coś dławiło mnie w gardle, nie mogłem tego przemóc. Wychrypiałem:

— Powiedziałem ci... Zrobię, co będę mógł. Znajdę ten węzeł, zmienię... będziesz wiedział, już jutro. Teraz idź. Chcę... muszę być sam.

Chyba zrozumiał, że nie powinien mówić nic więcej, że to jest jedna, jedyna rzecz, jakiej naprawdę nie mógłbym już teraz znieść. W milczeniu zaczął naciągać kurtkę, w milczeniu poszedł — wymijając mnie — w stronę drzwi. Widziałem, jak zamknęły się za nim, a potem, nagle, byłem już całkiem sam, z moją wszechwładzą, z tą cholerną boskością, której działanie on na mnie wymógł, wymusił. I chyba po raz pierwszy pomyślałem, że ponad ludzkie siły jest właśnie to: być bogiem, i że dlatego swoich bogów musieliśmy wymyślić, bo żaden, nawet najtwardszy człowiek, nie zniesie takiego obciążenia; bóg musiał być istotą niepojętą, nieludzką, bo nie na ludzkie siły był ten ładunek: aż takiej wiary, nadziei, spodziewania — i strachu. Bo bałem się — tak, teraz, sam na sam z sobą, mogłem się przyznać do tego: bałem się własnej wiedzy i związanej z nią mocy, bałem się — siebie i

odpowiedzialności, którą wszechmoc wkładała na mnie i która przekraczała moją odporność psychiczną. Ręce mi drżały, kiedy zacząłem włączać viniculator.

Próbując siłą narzucić sobie spokój zdołałem jakoś zakończyć przygotowania związane z uruchomieniem programu. Przysunąłem obrotowe krzesło, to samo, na którym — godzinę? — kilka minut temu?, siedział pod ścianą Res. Przez chwilę, patrząc na wolne miejsce po nim, miałem znów przed oczyma jego wychudłą twarz — zeszywniałą w owym dziwnym i rzadko spotykanym wyrazie cichego szaleństwa, pełną nadziei, żarliwej wiary, udręczoną. Skoro skonstruowałem viniculator, powinien istnieć po to, aby pomagać wszystkim cierpiącym, wszystkim tak rozpaczliwie walczącym z własnym losem, z ślepym przypadkiem — jak Nika i jak on. Nie mogłem pojąć, dlaczego trzeba było dopiero tej rozmowy, abym mógł to zrozumieć.

Siadając na swoim zwykłym miejscu włączyłem bieg roboczy i sięgnąłem po hełm. Poczułem chłodny ucisk elektrod i zaraz światło rozmazało się, zbladło, zacierając kontury otaczających przedmiotów, zmieniając wszystko w polu mego widzenia w szarą, świetlistą mgłę. Ogarnęło mnie owo, znane z poprzednich prób, niesamowite uczucie: jak gdyby kości miękkie, dało traciło spójność — rozpląwałem się, prawie niematerialny, przenikający wszystko i wszystkim wypełniony, a owo „wszystko” szło przeze mnie, było we mnie i mną; już nie istniałem, tracąc z wolna świadomość siebie wraz ze świadomością własnego dała. Byłem wszędzie i nigdzie, wszechmocny, panujący nad wszystkim, co wydarzyć się mogło — wzrastające uczucie wszechobecności, wszechsiły trwało, chociaż wiedziałem, że wcale się nie poruszam, wciąż jestem „teraz” i „tu”; to tylko czas zatrzymywał się we mnie na ułamek sekundy potężnym wirem, skupiając wszystkie możliwości zawarte w rzeczywistościach tak licznych, że ich ilość mogła wyrazić jedynie liczba zbliżona do nieskończoności; na te ułamki . sekund łączyłem je w sobie, jak pryzmat skupia przepuszczone przezeń światło.

A potem to nagle przeszło i mogłem widzieć — nadal niematerialny, będący wszystkim i niczym — biały ekran przed sobą, na którym, jak plamy światła i cienia na fotograficznej kliszy, wywoływany patrzeniem moich oczu, zaczynał się rysować kłęb poplątanych linii — przenikających się, splatających i rozłączających znowu; na jednej z nich zabłysnął nagle, jak oddalona gwiazda, srebrzysty punkt. To był poszukiwany „węzeł”, chwila, od której miała zależeć oczekiwana zmiana — ta jedna chwila, pomiędzy wszystkich innych, zdolna kształtować w zadany sposób przyszłość, mogąca zrealizować się dzięki viniculatorowi i mnie. Nigdy nie miałem wiedzieć, co być nią mogło, od jakiego wydarzenia zmiana była zależna, wiedziałem tylko, że ona jest, że ta możliwość — jedyna szansa dla Niki i takich jak ona — istnieje, jest osiągalna. Sięgnąłem do pokrętła ostrośd, obraz stał się wyraźny, przybliżył, w dolnej części ekranu zapłonęły jaskrawe liczby. Uderzyłem w błyszczący na pulpicie, czerwony klawisz; obraz drgnął, znieruchomiał. Zdarłem hełm z głowy i całym dałem — które już czułem znowu — odchylony na oparcie obrotowego fotela, spazmatycznie chwytałem oddech. Kiedy emocje opadły we mnie na tyle, że mogłem już odetchnąć całkiem spokojnie, rzuciłem okiem na świecące cyfry — wskazywały datę. Dzisiejszą. I godzinę: dwudziesta druga szesnaście. Spojrzałem na zegarek: brakowało dwadzieścia osiem minut.

Tylko dwadzieścia osiem minut. Tyle trzeba, by zmienić rzeczywistość, nadać jej pożądany, oczekiwany kształt. I ja to mogłem sprawić. Wystarczył jeden dany przeze mnie impuls, aby potężny strumień mocy płynący z viniculatora wprowadził realnie istniejące „dziś” w wybrany kanał czasowy, przekształcił i odmienił, odmieniając tym samym losy tysięcy ludzi. Jeden ruch mojej ręki i za dwadzieścia osiem — nie, już dwadzieścia pięć minut — wynalezienie leku przeciwko chorobie rażeniowej stanie się faktem, zaistniałym dość wcześnie na to, by Nika i wszyscy ludzie — aż do tej chwili skazani tak jak ona — zostali ocaleni. Zerwałem się z fotela, znów siadłem. Serce biło mi

dziko, gwałtownie, w ustach zupełnie zaschło. Tak, byłem — ja, człowiek — byłem Bogiem. Mogłem od nowa stwarzać, kształtując świat. Decydować o losie innych ludzi. Uszczęśliwiać ich. Wybawiać. Zapobiegać wojnom i katastrofom. Przedłużać życie. Tak. Ja, człowiek — mogłem wszystko.

Lecz kiedy tak siedziałem — oszołomiony, triumfujący, niemal szalony w poczuciu nigdy dotychczas w takim nasileniu nie zaznanego szczęścia, czując się wypełniony tą wielką, boską siłą — na razie tylko moją, ale dzięki mnie wkrótce mającą stać się własnością całej ludzkości — poczułem nagle, jak w moją pewność siebie, w owo poczucie mocy zaczyna wkradać się — prawie niedostrzegalnie — niepokój czy zwątpienie, których przyczyny jeszcze nie rozumiałem. To, w pierwszej chwili, tylko mnie zaskoczyło.

Potrząsałem głową jak pies, który chce spędzić zbyt i4; dokuczliwą muchę; nie pomogło, niepokój rósł — niejasny, a przecież dojmujący, wciąż jeszcze bardziej napelniający mnie zdumieniem niż niepewnością.

Jeszcze przed chwilą czułem się tak potężny i tak wszechmocny — teraz, powoli, zaczynało docierać do mnie, że do pełni boskości brakuje mi jednego, najważniejszego jej atrybutu: wszechwiedzy. Mogłem odmienić, przekształcić losy wielu tysięcy, może milionów ludzi. Mogłem powtarzać to i później, w przyszłości, ilekroć uważałbym, że taka interwencja jest potrzebna albo nawet konieczna. Ale nie mogłem poznać, prześledzić dalszych losów ich wszystkich, każdego z tych, w których życie miałem interweniować.

Zaczynałem rozumieć, że możliwość decydowania o innych jest zawsze próbą uszczęśliwiania ich na swoją miarę i że istotnie musiałbym stać się Bogiem, istotą już nie tylko wszechmocną, ale i wszechwiedzącą, zdolną wszystko zrozumieć, odczuć, przewidzieć — by nie popełnić błędu. Że — nawet wtedy — popełnienie go jeszcze nie jest nieuniknione. Bo trzeba by zobaczyć nie tylko dalsze życie wybawionych przez siebie ludzi, ale także tych wszystkich, których przyszłość będzie z nimi w jakikolwiek sposób związana, prześledzić konsekwencje, jakie — w każdym przypadku — może przynieść taka próba uszczęśliwiania.

Tego nie mogłem i nie mógł także żaden inny człowiek. Nie można wiedzieć, czy między ludźmi, których taka decyzja mogłaby uratować, nie znajdzie się ktoś, czyja śmierć byłaby o wiele lepsza od wszystkich jego czynów, nie sposób poznać konsekwencji poczynań każdego z nich. Nigdy nie miałem wiedzieć, w co wtrącę owych uratowanych, jakie cierpienia zgotuję im zamiast tego, które od nich udało mi się odwrócić, ile bólu — poprzez swoje istnienie — zadadzą oni innym, i co jest lepsze: interwencja, zastąpienie jednego zła drugim czy też niedziałanie. Czy z taką tylko fragmentaryczną wiedzą miałem prawo decydować o ich losach? Nikt nigdy nie może żądać od żadnego człowieka, aby udźwignął aż taką odpowiedzialność.

Siedziałem nieruchomo, bojąc się głośniejsz odetchnąć — czułem chłód w palcach rąk ciągle jeszcze opartych na pulpicie viniculatora, serce uderzało boleśnie, głucho, jak gdyby w wielkiej pustce. W ustach mi zaschło, gardło także miałem zupełnie suche, jak gdyby z drewna — z wysiłkiem przełknąłem ślinę, lecz to niewiele pomogło. Jakiś wewnętrzny skurcz, narastające w głębi mojego ciała drżenie, sprawiały, że bałem się teraz samego siebie, każdego swego ruchu. Było mi coraz zimniej, w pewnej chwili zacząłem trząść się cały. Co — wraz z moim urządzeniem — chciałem dać ludziom? Potęgę, która — w niepowołanych rękach — mogłaby sprawić zbyt wiele zła, jak obawiała się Rada? Czy też coś znacznie jeszcze gorszego, bo działającą ślepo wszechmoc, której efektów nikt nie był w stanie przewidzieć? Siedziałem ciągle wyprostowany i trząsałem się coraz bardziej — ja, pierwszy człowiek wyposażony we wszechpotęgę, kaleki Bóg obdarzony własną techniką w moc, której nie jest zdolny udźwignąć, do której nie ma prawa — właśnie dlatego, że jest tak bardzo

kaleki; przy wszystkich możliwościach działania pozbawiony wszechwiedzy, wszechmądrości, dających prawo, by tę wszechmoc wyzyskać, aby się nią posłużyć.

Kuląc się i drżąc spojrzałem — jakbym szukał pomocy — na piętrzący się przede mną vniculator; w ekranie tkwiła nadal ta sama świetlna cyfra. Na mojej ręce, leżącej płasko, bezsilnej i bezradnej, cienka wskazówka zegarka zbliżała się do poziomu, za kilka minut zacznie opadać w dół — miałem przed sobą już tylko trzy minuty, potem będzie za późno. Ci wszyscy, których mogłem — wciąż jeszcze mogłem — ratować... Miliony ludzi, którym dziś, jutro i za tydzień — i zawsze już, w przyszłości, mógł służyć vniculator, wybawiając od strachu, śmierci, wszelkiego zła... „Możesz” — mówił Res. Teraz, tu, w samotności, ja pytałem sam siebie: czy masz prawo... I nie umiałem wybrać, nie było odpowiedzi. W poczuciu własnej beziły zamknąłem oczy, pochyliłem się, uderzając czołem o gładki, chłodny pulpit.

Słyszałem teraz bardzo wyraźnie tykanie sekundnika; odruchowo, niemal bez głosu, samym poruszeniem zdrętwiałych warg, zacząłem liczyć padające w martwą ciszę tyknięcia; mój gorączkowy szept poganiał je jak gdyby, zdawało mi się, że następują po sobie szybciej niż kiedykolwiek, szybciej niż to możliwe. Wreszcie została mi już tylko minuta. Żeby zdecydować. Zaniechać wszelkich działań w konsekwencji — zniszczyć vniculator. Albo użyć go — użyć go po raz pierwszy, tym samym dając początek... Jeżeli miałem działać, musiałem się pospieszyć. Powinienem nacisnąć czerwony włącznik wysyłający impuls, niewielki, krągły przycisk, wyraźnie wyczuwany palcami prawej ręki. Stwierdziłem nagle, że palce mam spocone, że coraz bardziej śliska staje się dotykana nimi wypukłość włącznika.

Dwadzieścia sekund. Powinienem go nacisnąć.

Nie mogłem.

Pamiętnik pradziadka

...W wydawnictwie umówiłem się na dwunastą, miałem dość czasu, aby po drodze wstąpić do „Europejskiego” na śniadanie wiedeńskie...

Wilgotny ziąb przedwiośnianego świtu przejął mnie chłodem, skuliłem się, wciągnąłem głowę w ramiona; nastawiony kołnierz nie chronił od uderzeń wiatru niosącego deszcz ze śniegiem. Drętwiał lewy policzek, zgarbiłem się bardziej jeszcze, wbijając zaciśnięte pięści w kieszenie płaszcza. Kolejka posuwała się dziś wolniej niż kiedykolwiek, w szarym przedświcie widziałem przygarbione plecy stojących przede mną, od drzwi z migoczącym, neonowym napisem: „Dyscyplina pracy najwyższym dobrem autora”, dzieliło mnie jeszcze kilkanaście ciemnych postaci. Wiatr smagnał znowu. Śniegu przybywało w nękającej nas mżawce, barki stojącego przede mną posiwiały białym nalotem, z szuraniem stóp posunęliśmy się kilka kroków. Co się tam dzieje, do licha — pomyślałem w nagłym rozdrażnieniu — czemu dziś się tak grzebią. Może zresztą tylko mi się zdawało. Wilgotne ściany, mokre płyty chodnika, przyciśnięte do muru sylwetki coraz wyraźniej wyłaniały się z mroku, szarzało. Spojrzałem na zegarek: była za kwadrans siódma. Znowu wstemplują spóźnienie — pomyślałem, z tą samą co przed chwilą irytacją; ale nawet moja złość była nieagresywna, opadła zaraz, rozplynęła się w przeważającym nad wszystkim uczuciu senności i znużenia. Po raz nie wiem już który stwierdzałem, że jeśli nawet testy psychoneuriatrow rzetelnie ustalały godziny najwyższej gotowości twórczej, musiałem być wyjątkiem: o tej porze moja „gotowość twórcza” nie istniała, po prostu, byłem zupełnie do niczego, właściwie ledwie przytomny.

...miałem dość czasu, by po drodze wstąpić do „Europejskiego” na śniadanie wiedeńskie. Byłem zdania, że ta odrobina luksusu po prostu mi się należy: pisałem dziś do czwartej, odwalilem kawał dobrej roboty...

Przy krawężniku z piskiem opon przyhamował sześciobieg. Krytyk, który zeń wysiadł, szybkim krokiem przeszedł obok naszej kolejki, zręcznie wyminął stojącego w progu autora. Niebieski błysk neonu prześliznął się po jego eleganckiej, nie przyprószonej mokrym śniegiem sylwetce, nim zniknął w oświetlonym wnętrzu. Marzyłem o łyku kawy, o chwili gdy — już wreszcie siedząc przy biurku — dostanę moją pierwszą przydziałową filiżankę. Była za dziesięć siódma; podniosłem głowę — ciągnące się — długimi rzędami przez całą fasadę gmachu Koncernu Autorsko-Wydawniczego okna pomieszczeń pracy autorskiej były już oświetlone, w tych prostokątach blasku powtarzał się jak motyw rzeźbiony na jakimś fryzie, lub wycinanka wykonana przez dziecko — ten sam obrazek: biurko, maszyna do pisania (zawsze w tym samym miejscu), stojąca obok lampa (zawsze po lewej stronie; pomieszczenia dla leworęcznych znajdowały się w innym skrzydle budynku), ciemna sylwetka człowieka. Nie we wszystkich pokojach. Ale tam, gdzie już były, stanowiły jedyny element różniący je między sobą, chociaż, aby to dostrzec, trzeba było przyglądać się każdemu uważnie, porównując z innymi. Chwilowo różniły się także ich pozycje, ale wiedziałem, że — punktualnie o siódmej — będą już wszyscy i wszyscy pochylą się tak samo nad dyktafonami swych maszyn, tym samym, zacierającym owe niemal niedostrzegalne cechy indywidualne, ruchem. Była za osiem siódma, kiedy znalazłem się wreszcie w hallu Koncernu. Zgrabiętymi palcami sięgnąłem po swoją

kartę (po pięciu latach pracy robiłem to już automatycznie). wyluskałem ją z metalowej przegródki: bioczuJNIK dźwięknął, mignął żółtawym światłem, przez chwilę czułem opór karty, po czym, gdy z komputera nadeszło potwierdzenie identyczności moich linii papilarnych z odcisniętymi na niej, szcZęknął zwalniający ją magnetyczny zacisk; miałem kartę w rękę, na kilka sekund zbyt krótkich, bym mógł przeczytać choć jedną z nanoszonych regularnie co kwartał, zastrzeżonych wyłącznie do wiadomości Krytyków, ocen czy informacji: chwila potrzebna na to, by przenieść ją z lewej strony na prawą i wsunąć w szparę automatycznego kontrolera, wystarczyła zaledwie na rozpoznanie własnej twarzy na zdjęciu i przeczytanie nazwiska. Ten krótki moment już od dawna starałem się wyzyskać, by schwycić okiem słowo z ostatniej adnotacji — czytając tak codziennie po jednym można było w ciągu kwartału odtworzyć sobie całość dokonanego wpisu. Dzisiaj nie miałem szczęścia, mój wzrok uchwycił słowo „niezrównoważony”, a to czytałem już wczoraj. Automat z suchym szcZękiem wybił godzinę przyścia i wchłonał moją kartę, sprzężony z nim podajnik wypluł na niklowany blacik dzienny przydział papieru: mogłem nie liczyć kartek, było ich osiemnaście: dwanaście „efektywnych”, które po zakończeniu pracy miałem zwrócić komputerowi — wypełnione napisanym tego dnia tekstem (tysiąc osiemset znaków pisarskich na każdej, ani mniej, ani więcej — ale, na szczęście, nie musiałem ich liczyć, maszyny do pisania miały wmontowane liczniki) i 50%, to jest pozostałe sześć kartek, przeznaczone na straty; zgodnie z wyliczeniami Sekcji Kontroli Ekonomiki Twórczej. To, oczywiście, nie oznaczało wcale, bym nie mógł dostać więcej; po wyczerpaniu codziennego przydziału wystarczało zgłosić zapotrzebowanie komputerowi Koordynacji Indywidualnej Opieki Twórczej, którego wejście każdy miał w swoim pokoju. Staraliśmy się jednak tego unikać; w przypadku spadku potencji twórczej i niewykonywania stron efektywnie—twórczych otrzymywało się wprawdzie premie i pochwały, lecz — prędzej czy później, ale nieuchronnie — podnoszono takiemu autorowi indywidualną normę, co w konsekwencji prowadziło do — znów nieuchronnych — potrąceń z dodatków akordowych, w przypadku spadku potencji twórczej i niewykonywania owej, już podwyższonej normy. Zbyttnia wydajność jednego z nas odbijała się również ujemnie na kolegach, w statystyce wydajności twórczej dawała bowiem średnią przeliczeniową na jednego autora wyższą od zatwierdzonej. O te sto, dwieście znaków, ale zawsze. Prośenie o dodatkowy przydział papieru z powodu przekroczenia limitu kartek przeznaczonych na straty — jeżeli powtarzało się nazbyt często — powodowało z kolei wpisy do Karty Indywidualności Twórczej, a nadmiar takich wpisów mógł z czasem stać się przyczyną obniżenia klasyfikacji o jeden czy dwa stopnie. Zastanawiałem się nieraz, czy innym normalizacja przydziałów papierowych też tak zatruwa życie — ja w każdym razie nic nie umiałem poradzić na to, że — pisząc — marnowałem go, nazbyt wiele: kreśliłem, poprawiałem, szukając słowa, które najcelniej mogłoby wyrazić moje myśli, pokreślony papier lądował w pochłaniaczu, musiałem prosić o więcej, aby wykonać normę.

Myślałem o tym wszystkim posuwając się wolno w kierunku windy, w zapachu mokrej wełny syntetycznej i parujących o wiele szybciej w ciepłe hallu, ersatztyków. Początkujący autorzy, a także poeci, których utworów nie dawało się przerabiać na komiksy, więc pozbawieni wysokich premii komiksowych, nie zarabiali dosyć, by móc pozwolić sobie na luksus syntetyku. Mimo to przecież nie powodziło im się wcale najgorzej; ostatecznie pensję otrzymywali regularnie, nie musieli — jak to zdarzało się jeszcze te sto lat temu — oczekiwać latami na honorarium za wydrukowaną książkę, która zazwyczaj (nie bardzo wiem dlaczego) wciąż „ślizgała się” w planach, czy na zaliczki, uzależnione od zawarcia umowy na określoną książkę.

Tak, w dawnych czasach bywało wiele gorzej. Od kilku dni wiedziałem już coś o tym i tak, na przykład, były to czasy, w których nikt nie dbał o zaopatrzenie autora: nie tylko że sam musiał biegać

po papier, kalkę (!) czy coś tam jeszcze do rozsznycanych po całym mieście punktów przydziału, noszących nazwę sklepów, ale zdarzało się nawet, że w żadnym z owych sklepów papieru dostać nie mógł co dla mnie było już całkiem niepojęte. Jeżeli tylko pamiętało się o tym, narzekanie na system rozdziału stosowany przez Koncern było doprawdy przesadą. W cisnącym się do windy tłumku (do rozpoczęcia pracy pozostawało już tylko kilka minut) spostrzegłem paru zaprzyjaźnionych autorów i znanych mi widzenia redaktorów: wymieniliśmy pozdrowienia. Przedreptał Krytyk Misiewicz, uśmiechający się do wszystkich, poczciwy i chyba pełen jak najlepszej woli, któremu właśnie dlatego nie wrócono długiej kariery w Koncernie, pomimo jego wręcz fanatycznej wiary we wszystkie dogmaty koncernowego systemu: jakby nie było był to jednakże Krytyk ukłoniliśmy mu się więc wszyscy skwapliwie. Tym razem zmieściłem się już jakoś do windy. W ciągu tych kilkunastu sekund podróży na szóste piętro znowu natrętnie zamajaczyły mi przed oczyma linijki czytanego wczoraj wieczorem, staroświeckiego tekstu:

...odwaliłem kawał dobrej roboty. Kiedy nad ranem wstawałem od biurka, byłem zmordowany jak pies ale to nie liczyło się wcale wobec świadomości, że to co było wczoraj jeszcze tylko moim zamysłem zaczęło się nareszcie konkretyzować. Był jeszcze drugi powód: na dziś umówiłem się z H.K.. moim Recenzentem, chciałem się do tej rozmowy przygotować...

Dotarłem wreszcie do swojego pokoju, drzwi — od wpół do siódmej do wpół do czwartej otwierające się tylko na mój kod biologiczny — rozskoczyły się i zaraz zamknęły. Zostałem sam w znanym na pamięć niewielkim pomieszczeniu (trzy metry na trzy), którego meble, dostosowane kiedyś z największą dokładnością przez Centralny Komputer Administracyjny do moich upodobań, obrzydły mi straszliwie przez te ostatnie lata. Zgodnie z harmonogramem zmiana wyposażenia odbywała się raz na lat siedem tylko do siebie mogłem więc mieć pretensję że już po pięciu nie mogłem patrzeć na szafirowy hotel i dywan, biurko z czarno lakierowanym blatem i araukarię w kącie — to wszystko co na początku mojej pracy w Koncernie sprzyjało atmosferze skupienia, stwarzając nastrój do pracy (mój przyjaciel, poeta, Krzyś Werblin, twierdzi co prawda, że wstręt do naszych pokoi powoduje przymus nie chcianej pracy, ale Krzyś zawsze musi wydziwiać, w naszym Koncernie należy do wiecznych malkontentów). Mnie raczej zaliczano do optymistów, pomimo to z odrazą popatrzyłem na ułożony równo na biurku maszynopis; jego ostatnie strony zostały już w ciągu nocy porównane przez Komputer Dozoru Twórczego z wytycznymi mego Krytyka; niewykluczone, że marginesy gęsto pstrzyły komputerowe wydruki, a nawet — jeśli moja wizja zbyt rażąco nie zgadzała się z tym, czego oczekiwał nadzorujący mnie Krytyk Wróblecki — zjadliwymi uwagami jego samego. Na szczęście, nie było tego widać; kartki leżały zwrócone zapisaną stroną do dołu, a ja nie miałem siły ani ochoty odwracać ich i czytać — taka lektura z reguły paraliżowała w człowieku wszelkie zdolności twórcze na resztę dnia.

Moja odraza nie zmniejszała się jednak; właściwie od początku nienawidziłem tej książki — temat, psychiką bohaterów, filozofia życiowa, które miałem ukazać, były mi całkiem obce; robiłem swego czasu, co mogłem, by się jakoś od jej pisania wybronić. Nie zdołałem, cóż — byłem tylko autorem, w sporze z Krytykiem nie mogłem nigdy mieć racji: oni wiedzieli lepiej, co powinienem napisać i jak to być napisane powinno.

Usiadłem, wkręciłem papier w maszynę; dziś zaczynałem piąty rozdział, w którym główny bohater miał znaleźć się na statku, w samym oku cyklonu. Nigdy nie widziałem nawet przyzwoitego sztormu, nie lubię morza, nie potrafię wczuć się w „poetykę marynarskiego zawodu”, a memu bohaterowi, którego uważałem za skończonego kabotyna (te same cechy, według Wróbleckiego, miały tworzyć „niezmiernie spójną postać „pozytywnego, nieugiętego Idealisty”), już od drugiego rozdziału

zyczyłem nagłej śmierci, ale musiałem odrobić swoje dwanaście stron, na których „bohatersko” będzie się mierzył z żywiołem. Nie miałem siły zacząć, zniechęcenie udzieliło się nawet moim rękom; nie potrafiły podnieść się z blatu biurka, aby włączyć maszynę i wcisnąć przycisk dyktafonu. Odwróciłem się razem z obrotowym fotelem i popatrzyłem w okno: cienkie, bezlistne o tej porze roku gałązki rachitycznej topoli rysowały się na tle żółkniejącego nieba, pas żółci poszerzał się nabierając u góry srebrzysto–zielonkawych tonów, gdzieś w dole wydzierały się niewidoczne wróble; poczułem nagły skurcz gardła, niepokój idący dreszczem przez całe moje ciało — i nagle pełen byłem słów, które chciałbym zapisać, słów oddających owe przedzieranie się świtu przez gałązki topoli, zgiełk wróbli, szarość ulicy za murami Koncernu, ludzi — skulonych i zziębniętych, jeszcze nie całkiem rozbudzonych, idących spieszenie po wilgotnym chodniku. Widziałem to tak dokładnie, jakbym patrzył na idących naprawdę, nie w mojej wyobraźni; zmęczeni, zwykli, codzienni, dążący ku swoim wcale nie bohaterskim sprawom i właśnie poprzez tę swoją zwyczajność rozumieli i bliscy; zobaczyłem, jak między nimi przeciska się szczupły jasnowłosy chłopak w niedopiętej koszuli pod kurtką z ersatztyku; chłodne poranne powietrze wciskając się pod ubranie omywało mu ciało szybkim, trzeźwiącym nurtem — znałem go, rozumiałem, nie był starannie wymyśloną przez Krytyka postacią, był mną i ja mogłem być nim; wiedziałem, co go spotka, co pozna, co przeżyje... Wiedziałem, co przy tym będzie czuł, o czym myślał, rozumiałem wątpliwości, rozterki mające się w nim zrodzić, mogłem przewidzieć wszystko, aż do chwili, gdy wreszcie... Podniosłem rękę i opuściłem je zaraz, nim jeszcze mogły włączyć przycisk dyktafonu. To było bezsensowne, nic by nie dało, tego, co napisałbym, nikt nie zechciałby przeczytać, nikogo nie obchodził tekst nie zainspirowany czy choćby zatwierdzony przez żadnego z Krytyków, mój własny... Przez chwilę nieruchomo patrzyłem w coraz jaśniejsze niebo, a tamte słowa umierały we mnie i gasły, już nie widziałem chłopca biegnącego ulicą, nie wiedziałem, do czego dąży, co mógłby osiągnąć, jaki jest...

Siedziałem przy moim biurku sztywno wyprostowany, pusty, czując, jak owa pustka rozrasta się we mnie z minuty na minutę, nadal nie będąc w stanie zacząć tego, co pisać powinienem. Po raz pierwszy poczułem w sobie bunt — właściwie nie bunt jeszcze, zaledwie coś, co było jego zapowiedzią — przeciwko Koncernowi z jego niszczącym we mnie coś trudnego do nazwania systemem. Ale to trwało krótko, sekundę może, bo zaraz ogarnęła mnie panika: była za pięć minut ósma, czas, jaki miałem do dyspozycji, mijał, miałem już teraz prawie o godzinę mniej na napisanie moich dzisiejszych dwudziestu jeden tysięcy sześciuset znaków. Ze strachu, że nie zdążę, jeśli tak będzie dalej, zaczynałem się pocić. Pot zbierał się na granicy włosów, łaskotliwie spływał po skórze — sięgnąłem po chusteczkę, żeby go otrzeć, i zobaczyłem, że trzęsą mi się ręce. Zaczynałem już widzieć przed sobą szeregi tych przeklętych znaków, których nie zdołam upchnąć w kurczącym mi się czasie — wiedziałem, że takie wizje są objawem nadchodzącego ataku hysterii twórczej, choroby najgorzej notowanej w Koncernie; więcej niż trzy ataki w miesiącu powodowały nieuchronnie adnotację „niewydajny” w Karcie Indywidualności Twórczej, a — zgodnie z Konwencją Autorsko–Wydawniczą z 2083 roku — zwolnienie lekarskie z numerem tego schorzenia nie powodowało wypłaty zasiłku chorobowego. Musiałem wziąć się w garść, i to szybko: należało natychmiast skorzystać z Systemu Inspiracji Autorskiej; to, na szczęście, nie było źle przez Krytyków widziane. Przeciwnie, autor, który często z Inspiracji korzystał, mógł liczyć na pewną pobłażliwość z ich strony, uciekanie się do pomocy Systemu potwierdzało bowiem generalne założenie Koncernu: że bez inspirujących bodźców, wytycznych i nadzoru Krytyków autor tworzyć nie może. Wcisnąłem biały, potem zielony przycisk na tablicy rozdzielczej po prawej stronie biurka. W tej samej chwili żaluzje w oknach opuściły się z trzaskiem, ściany pokoju jak gdyby rozstały się i znalazłem się nagle na

otwartej przestrzeni, na samym środku morza. Groźne, wysoko spiętrzone fale szły na mnie z hukiem, wiatr targał włosy, wpychał oddech do gardła, ciemne, burzowe niebo zdawało się walić na głowę i choć wiedziałem, że te efekty zawdzięczam neurofonowizji, złudzenie było tak doskonałe, że chwyciłem się biurka, by wznoszenie się i opadanie podłogi (przepraszam teraz: pokładu) pod moimi stopami nie zważyło mnie z nóg i nie rzuciło za burtę. W tej samej chwili usłyszałem trzask pękającej grodzi, rzuciło mnie w przód tak, że omal nie wylądowałem twarzą w maszynie do pisania; ogromny grzywacz załamał się tuż obok z potwornym rykiem, poczułem na twarzy wilgoć zalewającej mnie piany, żołądek podjechał mi do gardła. Kurczowo wczepiony w blat biurka, najwyższym wysiłkiem woli starając się opanować torsje, rozpaczliwie usiłowałem wyobrazić sobie bohaterskie odczucia mojej głównej postaci — i nie umiałem. Wiedziałem tylko, że jeszcze chwila, a nie zdołam powstrzymać ataku choroby morskiej.

Macając na oślep odnalazłem wyłącznik, morze i cyklon znikły natychmiast, miałem znowu świadomość swego pokoju, otaczających mnie sprzętów — i nadal nie mogłem zacząć, nie było we mnie ani jednego słowa, które chciałbym zarejestrować na papierze, mdliło mnie tylko ciągle.

Zacisnąłem powieki i — wciąż jeszcze wczepiony obu rękami w brzeg biurka — kląłem bezgłośnie, z beznadziejną rozpaczą kretyna, którego nic mnie nie obchodzące losy na środku oceanu musiałem opisywać, i Wróbleckiego, który — jak zresztą większość Krytyków wymagał, żebym ja pisał to, co sam chciałby napisać, gdyby miał choć odrobinę talentu. A potem znowu, natrętnym przypomnieniem, wróciły do mnie słowa czytane wczoraj:

...chciałem się do tej rozmowy przygotować. Jedząc, raz jeszcze przeglądałem recenzję, po raz drugi stwierdzając, że H. K. ma rację sens sporu między bohaterami istotnie zostaje osłabiony tym, że argumentem decydującym stają się rękoczynny. To mordobicie będę musiał wyrzucić. To powinna być jak napisał H. K. „dramatyczna konfrontacja racji, sprowadzona do najistotniejszych argumentów”. Bardzo mi pomógł tym stwierdzeniem, dzięki owej sugestii zobaczyłem cały ten spór od nowa inaczej, na pewno lepiej. Ale w sprawie zakończenia się z nim nie zgadzam...

Tak lub bardzo podobnie mogłem pomylić się najwyżej o trzy, cztery słowa; moja cholerna pamięć uczepliła się owego tekstu z intensywnością, jakiej nigdy nie wykazywała, gdy trzeba było pamiętać wytyczne Wróbleckiego. To nazwisko przypominało mi o mijającym bezproduktywnie czasie, ale tym razem już się nawet nie zląkłem. Oparłem głowę na rękach i siedziałem tak długo było mi wszystko jedno. Mogli mnie nawet z Koncernu Autorsko–Wydawniczego zaraz jutro wyrzucić, wolałem być bez pracy, niż dalej tak się mordować. Prawdopodobnie właśnie zostanę wyrzucony; ze strony Wróbleckiego nie mogłem liczyć na pobłażliwość; wiedziałem, że mnie nie znosi. Ta awersja datowała się od momentu gdy — jako młody, początkujący, całkiem niedoświadczony autor — ośmieliłem się dyskutować z jego wyjątkowo nieuczciwą recenzją, popełniając przy tym ten, nie do wybaczenia błąd, że zarzuty Wróbleckiego starałem się odeprzeć przytaczając wypowiedzi innego, znacznie wyżej cenionego Krytyka, który też książkę recenzował i dał opinię pozytywną. Od tego czasu Wróblecki robił, co mógł, by się na mnie odegrać. Oderwałem czoło od biurka, wyprostowałem się wolno. Gdy to robiłem, notes, wepchnięty pod koszulę, przesunął się i zaczął uwierać mnie swoją sztywną, staroświecką okładką, jakby zachęcał do podjęcia lektury. Chwilę walczyłem z sobą, ale wiedziałem, że dziś już niczego z siebie nie wyduszę.

Sięgnąłem pod koszulę i wydobyłem notes, na później pozostawiając rozstrzygnięcie problemu, jak mógłbym z tego wybrnąć, by skończyło się tylko na potrąceniu ryczałtu godzino—słownego za dzień dzisiejszy i pisemną naganą. Skoro tak czy inaczej ten dzień miał być moją klęską, mogłem przynajmniej czytać, zamiast siedzieć beczynnym (wyjście przed końcem godzin pracy równałoby się

dyscyplinarnemu zwolnieniu). Ostrożnie, by nie pokruszyć rozlatujących się ze starości kartek — ci dwudziestowieczni widocznie nie umieli immortować papieru — rozłożyłem przed sobą staroświeckie notatki; mogłem to zrobić śmiało, invigilatory w pokojach pracy autorów zdemontowano ze trzy miesiące temu, bo, jak wynikało z analiz porównawczych Sekcji do Badań Indywidualnej i Zbiorczej Wydajności Autorów, od czasu ich zainstalowania wydajność wszystkich bez wyjątku zmniejszyła się o 37,8%.

Rękopis otworzył mi się w miejscu, w którym musiałem przerwać czytanie, na tym niewiarygodnym fragmencie, który mnie tak szokował:

...w sprawie zakończenia się z nim nie zgadzam. Moim zdaniem, właśnie takie, jak jest, podrzuca cały problem czytelnikowi, bo przecież daje memu bohaterowi jeszcze dwadzieścia sekund na podjęcie ostatecznej decyzji. To zakończenie pozostawię więc bez żadnych zmian...

„Jednak się z nim nie zgadzam”. „Moim zdaniem”. I to pisał autor! Co najmniej zaskakujące... Przerwałem i zamyśliłem się nad tym: a więc w tamtych czasach Krytyk nie był wyrocznią, od której werdyktu nie było odwołania... Autor miał prawo się z nim nie zgodzić i pisać po swojemu, i taka książka mogła zostać wydana — jej ostateczny osąd należał do czytelnika... Wynikałoby z tego, że drukowano ją co najmniej... w kilku? — a może w kilkunastu egzemplarzach? — i że czytelnik też mógł mieć do niej dostęp. Mógł czytać samą książkę, a nie tylko recenzje zamieszczane w literackich czasopismach. W moich czasach to było nie do pomyślenia: nasze książki drukowano w jednym egzemplarzu i poza Krytykami nie czytał ich nikt. Chyba że — przerobiona na komiks albo serial telewizyjny — trafiała do szerokiego odbiorcy. Nie każdy autor miał jednak tyle szczęścia, by jego pracę Krytycy do przeróbki zakwalifikowali — większość musiała zadowolić się tym jednym egzemplarzem leżącym w archiwum, czytany wyłącznie przez nich.

Zacząłem przerzucać strony notatnika, by znaleźć coś, co potwierdziłoby karkołomne wnioski, jakie nasunęła mi ich lektura. Mój wzrok zatrzymał się na liczbie 20 000 — nie wierząc własnym oczom cofnąłem się do akapitu, odczytując tę niewiarygodną informację:

Dziś dostałem egzemplarze sygnałne — książka wyszła w nakładzie 20 000, i podobno już się rozchodzi...

Dwadzieścia tysięcy! To było coś, co nie mieściło się w głowie — nie potrafiłem tego skomentować. Takie nakłady — zaledwie sto lat temu? Czyżby książki czytali wtedy wszyscy? W nadziei, że dalszy tekst cośkolwiek mi wyjaśni, czytałem dalej, ale to było już o czymś innym:

...i podobno już się rozchodzi. Chyba udało mi się naprawdę. Po odebraniu sygnałnych zaszedłem oczywiście do A.A.; powiedziała mi, że jej zdaniem, ta pozycja lepsza jest od poprzednich, że wciąż „idę do przodu”. Było mi bardzo miło. Mam przy tym pełną świadomość, że — jeśli istotnie piszę lepiej, w dużym stopniu zawdzięczam to recenzjom H. K. i współpracy z A. A. Zdumiewające, jak ona umie pokazać człowiekowi błędy, których sam nie dostrzega — dziwię się potem, jak mogłem ich nie zauważać. Potrafi przy tym robić to w taki sposób, że moja ambicja nie jest ani odrobinę drażniona. Umie zachęcić, skłonić do pracy nad tekstem, do jeszcze jednej próby jego zanalizowania — na jej wyczuciu, wnikliwości jej ocen zawsze mogę polegać. Jeśli redaktor ma być dla autora nie tylko Pierwszym Czytelnikiem, lecz także Przyjacielem, Doradcą — A. A. jest redaktorem doskonałym. Jeśli recenzent ma być tym kimś, kto — dzięki erudycji, obiektywizmowi ocen, doświadczeniu i wyrobieniu literackiemu — pomaga autorowi „podnosić sobie poprzeczkę” nie niszcząc przy tym jego osobowości, nie zmuszając do pisania wbrew sobie — przeciwnie, mobilizując do samookreślenia, H. K. jest

recenzentem, jakiego każdy autor powinien sobie życzyć...

Przetarłem oczy i potrząsałem głową; tego, co przeczytałem, nie byłem w stanie pojąć. Więc były czasy, kiedy o redaktorze można było napisać „Przyjaciół i Doradcę”? Nikt z nas nie napisałby tego o żadnym z redaktorów Koncernu. Ich rola była teraz zupełnie inna, z tekstem pisany przez autora nie mieli żadnej styczności, ich , obowiązki polegały na przerabianiu książki na komiks albo serial, wraz z autorami stanowili niższy personel wydawniczy... Ale bardziej jeszcze zdumiewało to, że byli kiedyś Krytycy, którzy „pomagali autorom, nie niszcząc ich osobowości”, „mobilizowali do samookreślenia”. No, ale chyba nie wszyscy... Pewnie i wtedy zdarzali się już tacy, którzy uzurpowali sobie monopol na posiadanie bezwzględnej racji, którym nigdy nie przychodziło do głowy, że ich sąd może być tylko poglądem subiektywnym, wynikiem własnych gustów, a nie miarą wszechrzeczy — prototypy Wróblskich i wszystkich im podobnych. Ci dzisiejsi nie wzięli się z niczego, to chyba była jakaś ich... ewolucja.

Oczywiście, zdarzali się poczciwi, jak Misiewicz, zastraszeni przez innych, jak Ludwikowski, a nawet tacy, których stać było na obiektywizm, jak Pietraszek albo Mędrzycki. Ale inni traktowali podległych sobie autorów jak worki treningowe, na których bez żenady można wyładowywać kompleksy, traktując czytane teksty jako pretekst do wykazania własnej wyższości.

Po raz pierwszy takie myśli przychodziły mi do głowy i nagle uświadomiłem sobie, że to, co w ciągu ostatnich dni wyczytałem w znalezionym przypadku w moim domowym archiwum pamiętniku, stawia w zupełnie innym świetle sprawy dziejące się wokół mnie, więcej — że przeczy temu, co nam włączano do mózgow w czasie dokształcających kursów z doktryn rozwoju myśli wydawniczej i etyki autorskiej, a nawet — informacjom dotyczącym genezy i powstawania Koncernów. Zapiski, które miałem przed sobą, stanowiły coś w rodzaju pamiętnika pradziadka, pisarza dwudziestego wieku. Były czymś autentycznym, nie widziałem powodu, by im nie wierzyć. A więc należało zrewidować moje dotychczasowe poglądy, a to znaczyło: wątpić w prawdziwość danych, na jakich je opierałem. Zacząłem kartkować notes, przypominając sobie wszystko, co już czytałem w ubiegłych dniach, próbując ułożyć obraz życia pradziadka w spójną, logiczną całość, z której mógłbym wysnuwać dla siebie wnioski.

Pierwsze strony mówiły o dosyć częstych kłopotach finansowych, powodowanych przeciągającym się sporządzaniem umowy przez niektóre wydawnictwa lub wypłacaniem przez nie zaliczek i honorariów. To zgadzało się z wszystkim, czego mnie nauczono, dlatego w pierwszych dniach czytania nie doznawałem zdziwienia. Przeciwnie — współczułem pradziadkowi serdecznie: ja nie musiałem odbywać wędrowek do znajomych, by pożyczyć pieniądze, mnie elektrownia nie wyłączała światła za nie zapłacone rachunki, nie musiałem żadnej ze swoich książek pisać przy świecach. Pradziadek pisał tak właśnie tę najlepszą, którą potem nazwano „książką jego życia”. Były tam także wzmianki o różnych innych drobnych uciążliwościach, tych, z których odciały nas komputery Koncernu. Nie wszyscy redaktorzy byli tacy jak „A. A.”, trafiały się też utyskiwania na niektórych Krytyków. Pisał o nich: „ulubionym chwytem jest — na początku recenzji — streścić w ten sposób książkę, by tym streszczeniem, łagodnie mówiąc niezbyt zgodnym z jej treścią, »ustawić ją do ciosu«. Ma to dwa plusy: można już potem krytykować nie to, co napisał autor, ale własne streszczenie, kosztem autora dowodząc celności swoich sądów i lotności umysłu, poza tym streszczenie daje te kilkadziesiąt wierszy recenzji więcej, co podwyższa wierszówkę”.

No, tak. Ale i na tym kończyło się potwierdzenie rzeczy mi znanych, uczonych na kursach historii autorsko—wydawniczej. Potem zaczynały się wzmianki o czytelnikach, o spotkaniach autorskich, nagłych przyływach gotówki za już wydaną książkę — te, które z wolna budziły mój niepokój, że nie wszystko wyglądało w przeszłości tak, jak nam to przedstawiano. Aż do — czytanych wczoraj,

rewelacyjnych zdań o sposobie pracy nad książką, o koncepcji autorskiej i swobodzie jej realizacji, i tych zaskakujących, dziś przeczytanych uwag o wysokości nakładów, o H. K. i A. A” będących już w zupełnej sprzeczności z wszystkim, co wiedziałem.

Powoli obraz owych zamierzonych czasów zaczynał się krystalizować. Oficjalna wersja głosiła, że Koncerny Autorsko—Wydawnicze powstały właśnie w dwudziestym wieku, czemu zapiski pradziadka wyraźnie zaprzeczały. Wydawnictw w owym czasie było sporo i autor mógł wybierać to, któremu decydował się zaproponować tekst. Krytycy, recenzujący wstępnie książkę, pełnili rolę doradców wydawcy i autora; redaktor, jeśli był dość odważny, mógł nawet wbrew złej opinii wstępnej zakwalifikować książkę do druku, miał dość wiadomości fachowych, by mógł sam ocenić przedłożony mu tekst. Zdarzały się i wówczas w prasie literackiej recenzje krzywdzące, jadowite, wynikające z uprzedzeń, prywatnych animozji czy też po prostu braku wyczucia niektórych krytyków, ale, na ogół, nikt nie przejmował się nimi, o ile książka była istotnie dobra. Tym bardziej że i wówczas jedna recenzja często przeczyła drugiej; tutaj przynajmniej znajdowałem pełną analogię ze współczesnością — co jeden Krytyk pochwalił, drugi natychmiast ganił; czytając recenzje w prasie nikt nie był w stanie pojąć, jaka właściwie ta książka jest. Ale i na tym kończyły się podobieństwa: o wartości książki — jak już wspomniałem — w ostateczności decydowali jej czytelnicy, kupując ją lub nie.

Było to wszystko dosyć zaskakujące, ale dowodziło niezbicie, że teza o konieczności wprowadzenia w życie Pierwszej Konwencji Autorsko—Wydawniczej, tej z 2007 roku, była co najmniej naciągana; nic nie potwierdzało konieczności powstania Światowej Organizacji Koncernów Autorsko—Wydawniczych w celu zapewnienia głodującym i pozbawionym możliwości wydawania autorom tak zwanego minimum socjalno—ambicjonalnego. Komiksy, telewizja istotnie w pewnych kręgach zaczynały wypierać literaturę, nie było to jednak jednoznaczne z jej totalnym regresem; przeciwnie, w tym samym czasie książki stawały się przedmiotem spekulacji (przynajmniej — niektóre z nich), tak były poszukiwane. Zaczynałem przypuszczać, że zatrudnienie autorów w Koncernach, pod kierownictwem Krytyków, było efektem megalomanii tych ostatnich. Podniosłem głowę i spojrzałem w okno; zbliżało się południe, bezlistne gałęzie topoli połyskiwały metalicznie w chłodnym, zimowym słońcu, ich widok przypominał chwilę, w której tak mocno, tak wyraźnie wiedziałem, co chciałbym pisać. Stos czystych kartek leżał nietknięty przede mną. I nagle zrozumiałem tę największą różnicę pomiędzy moim życiem a życiem mego pradziadka: jego — nie było puste i nijakie jak moje, skoro mógł swoje książki, od początku do końca, pisać według własnych założeń... Były jego zamysłem, realizowanym w sposób określony przez niego, jego własne — a to nadawało sens życiu. To nie pradziadka należało żałować. Powiniennem raczej zazdrościć mu — zazdrościć tej rzeczy dla nas już niepojętej, nieosiągalnej, właściwie nawet wykraczającej poza nasze marzenia: swobody pracy twórczej.

W czwartki, pod koniec pierwszej połowy dnia pracy, Krytycy przyjmowali podległych sobie autorów: było to coś w rodzaju generalnej, zindywidualizowanej próby przed sobotnią odprawą autorów całego Koncernu. Był właśnie czwartek, stałem na korytarzu przed gabinetem Wróbleckiego, czekając, aż Tomek Smuga, poprzedzający mnie na liście (Wróblecki wzywał wszystkich w porządku alfabetycznym, co, bądź co bądź, było mniej uciążliwe od stosowanej, przez Starościka na przykład, metody „wrywania” ludzi na chybił—trafił), opuści pokój Krytyka.

Drzwi uchyliły się, stanął w nich Tomek; wyglądał tak, jak można wyglądać po rozmowie w Wróbleckim: spocony, z latającymi oczami, przygarbiony. Na moje pytające spojrzenie poruszył kilkakrotnie ustami, dopiero po chwili zdołał odzyskać głos.

— Ten cholerny wymyślacz... — stęknął. — On jest głuchy na język, nie odróżnia dobrego zdania od złego... Nie dostrzega żadnych nastrojów, podtekstów czy refleksji... jemu musisz wymyślić rozwiązanie fabularne, na które nikt jeszcze nie wpadł. To jedno się dla niego liczy. „To było”. Sytuacje, jakich nikt jeszcze, od początku świata, nie wymyślił... Skąd ja mu wezmę? Literatura istnieje od paru tysięcy lat, wszystko już było... Można najwyżej znaleźć w znanej już sytuacji coś nowego, mieć swoje spojrzenie... Ale on tego i tak nie zauważy. „Sytuacja polegająca na tym, że mężczyzna zakochał się w kobiecie, została już opisana”. Jeśli zakocha się w mężczyźnie, własnej matce, siostrze, dziecku, w pejzażu — on także powie: „było”. Więc co? Mam kazać mu kochać się w nodze stołowej, sprawdzając przedtem Komputerem Encyklopedycznym, czy nikt inny na to nie wpadł?...

Mógłby tak chyba bez końca — widocznie sam to zrozumiał, zreflektował się, zamilkł. Choćby mówił godzinę, swego rozgoryczenia i tak by nie wygadał. Popatrzył na mnie, machnął ręką i — wymijając mnie jak rzecz, jak przeszkodę znajdującą się na jego drodze — powlókł się korytarzem. .

— Autor Ned Costt — warknął głośnik umieszczony nad drzwiami.

Nie nazywałem się Ned Costt, moje nazwisko brzmiało całkiem zwyczajnie, dość popularne w tej strefie narodowościowej, ale — jako zbyt trudne dla cudzoziemców — zostało zastąpione w Koncernie tym właśnie pseudonimem, ze względów komercyjnych, najwidoczniej w nadziei na podbicie europejskiego rynku. Z tych samych przyczyn Smuga nazywał się Al Black. Roman Wójcicki — Ken Reed. Janusz Szczebrzeszyński — Phil Tiit. Wroblicki nie raczył zadawać sobie trudu pamiętania naszych prawdziwych nazwisk; dla niego funkcjonowaliśmy jako Black, Costt, Reed, Tiit. Wszedłem w momencie, kiedy zamierzał już wrzasnąć po raz drugi. Siedział w fotelu za biurkiem, dziwnie poskręcany, z jedną nogą opartą kostką o kolano drugiej nie mam pojęcia czemu przybierał zawsze tak niewygodne pozycje, być może wydawał się w nich sobie wyniosły i nonszalancki. Oczywiście, nie poprosił, bym usiadł. Przyglądał mi się z niechęcią; żadne, nawet najbardziej wnikliwe testy nie wykryły w nim choćby śladu talentu, toteż pogardzał tymi, którzy go mieli. Wreszcie przemówił:

— Lektura kolejnych rozdziałów pańskiej powieści dowodzi, że nastąpił znaczny regres w koncepcyjnej i literackiej warstwie pana twórczości. W piątym rozdziale sięga pan po pomysły nie wyświechtane już, a krańcowo banalne i szczególnie w planie twórczości pańskich kolegów wręcz anachroniczne. Rzecz, wzbogacona o porcję pseudorefleksji na poziomie „jak oni mogli”, jest nieudolna, a chwilami wręcz zatraca o bzdurę.

— Ale... próbowałem się wtrącić, bez powodzenia zresztą, bo Wroblicki lekceważącym i władcym gestem ręki kazał mi milczeć.

— Przeżycia bohatera na morzu — ciągnął, najwyraźniej upajając się formułowanymi zdaniami — buduje pan w oparciu o dwa zazębiające się plany: pierwszy to płomienna filipika przeciw duchowej szpetocie i zezwierzęceniu ludzi, doprawdy żenująca, drugi zaś to wspomnienia utraconej miłości w stosunku do owej płaszczyzny da się z powodzeniem odnieść wszystko, co powiedziałem na wstępie. Czyli sztampa nie wychodząca w niczym poza trywialne wyobrażenia; to wszystko trąci niczym nie skażoną amatorszczyzną. Wątek nieśmiało-erotyczny wzbogacony o moralistykę i psychologię, daje tylko ten efekt, że w rezultacie owych zabiegów powstała historia po prostu piekielnie nudna.

Nie miałem już ochoty przerywać chciałem tylko, żeby ten straszny moment skończył się jak najprędzej. Oblizawałem wyschnięte wargi; niewiele to pomogło, język też miałem suchy jak drewno. Za to dłonie pociły mi się coraz silniej, były już całkiem mokre. Wróblicki kontynuował:

— Reasumując: tekst jest wtórny, uproszczony i nieatrakcyjny. Zakończenie rozdziału, ta rzekoma

pointa trąci tanim konceptem i nie znajduje wielkiego uzasadnienia w logice akcji, trudno oprzeć się podejrzeniu, że właśnie gwoli tego optymistycznego, anegdotycznego finału pan cały rozdział napisał...

— Przepraszam — nie wytrzymałem jednak — ale to nielogiczne. Jedno przeczy drugiemu. Bo albo „pointa nie znajduje uzasadnienia w logice akcji”, a więc jest przyczepiona na siłę, albo też „dla takiego finału rozdział jest napisany”, co właśnie dowodziłoby, że zakończenie jest jego integralną częścią, że z całej treści wynika... Nie słyszał, po prostu nie raczył mnie usłyszeć. Arbitralnie ferowane wyroki, utożsamianie własnych poglądów z obiektywną wartością... Tacy jak on w ciągu wieków istnienia literatury wykańczali pisarzy znanych, nieraz wręcz znakomitych, łamali najtęższe pióra... Cóż mogłem tu znaczyć ja? Nawet nie tyle, by warto było mnie słuchać. Nie pamiętam, w jaki sposób wyszedłem, a raczej wyskoczyłem z gabinetu Krytyka; po dłuższej chwili zdałem sobie dopiero sprawę z tego, że stoję na korytarzu, przy jednym z okien, trzęsąc się jak mokry, zziębnięty pies i zaciskając pięści, aby jakoś ten dygot przemóc.

Jeszcze więcej czasu było mi trzeba, by zauważyć, że z drugiej strony okna ktoś stoi; nie mogłem widzieć twarzy, widziałem tylko plecy, szczupłe, dziewczęce plecy wstrząsane teraz płaczem.

Zrobiłem krok w jej stronę, usłyszała, bo odwróciła się do mnie; spod opadających na szerokie brwi ciemnych i prostych włosów spojrzały na mnie ciemnoniebieskie, z szarymi przelśnieniami oczy Anki Żbikówny, drobnej, wrażliwej prozaiczki z sekcji krytycznej Starościka. Kilka miesięcy temu zazdrościłem jej, bo otrzymała zgodę na pisanie według własnego pomysłu; rzecz w Koncernie niemal niespotykana. Temat został wprowadzie znacznie przez Starościka skorygowany, ale zawsze... Teraz wstyd było mi tamtej mojej zawiści; widok jej płaczu sprawiał dotkliwą przykrość. Zauważyła to chyba, bo spróbowała się uśmiechnąć; ten uśmiech wypadł blado, zupełnie nie—przekonywający.

— Co się stało, Starościk zrobił z ciebie miazgę? — pytanie było właściwie retoryczne; autorka płacząca w czwartek — to mogło oznaczać tylko tego typu historię. — Nie przejmuj się tak, dziewczyno...

Drugi uśmiech wypadł już dużo lepiej. Podniosła na mnie oczy; czarne rzęsy wciąż były pozlepiane i mokre.

— Nie masz chusteczki, Piotruś? — Sięgnąłem do kieszeni, a ona, nie czekając, zaczęła opowiadać przeprawdę ze Starościkiem:

— Powiedział, że książka jest nieprawdziwa, niezwykle powierzchowna... Odmówił zgody na druk...

— Może naprawdę coś ci się nie udało... Poprawisz... — próbowałem pocieszać, choć sam nie wierzyłem w to, co mówię.

— Widzisz, kiedy on jej w ogóle nie czytał — stwierdziła beznadziejnie. — Ot, byle jak przerzucił... Postacie mu się mylą, krytykuje realia, jakich wcale nie było... Czepia się jakiejś sekretarki, postaci marginalnej i zupełnie nieważnej, pojawiającej się w jednym akapicie, a głównego bohatera w ogóle nie zauważa... Powiedz, czy to uczciwe, niszczyć autora złą recenzją powieści, której się nawet przyzwoicie nie przeczytało?

Milczałem; Krytycy przelatujący byle jak i po łebkach przedłożone im teksty, piszący złe recenzje czegoś, co im się tylko wydawało, byli nie mniejszą zmurą autorów niż ten rodzaj, który reprezentował Wróblecki. Cechowało to zwłaszcza tych, którzy czasami — jak Starościk — sami pisali także; metoda mieszania z błotem dzieł innych, by na tym tle milcząco podkreślić genialność własnych, była tak stara, jak system panujący w Koncernie (a może jeszcze starsza?) i równie niezawodna.

Ktoś — nie pamiętam już kto i kiedy — powiedział, że niektórym Krytykom najbardziej

odpowiadałby taki model Koncernu: gigantyczna maszyna, do której z jednej strony wrzucano by autora, a z drugiej wyskakiwałaby gotowa książka. Ale to nie była prawda; odpowiadał im taki właśnie Końcem, jaki istniał — przyznający im wszelkie przywileje, gwarantujący im pozycję ludzi, nie mających obowiązku liczenia się z czymkolwiek lub kimkolwiek... Koncern był tym, co śniło im się po nocach, od dawna, odkąd pierwszy Krytyk zamarzył o roli wyroczni, sędziego, władcy dusz — zżerany megalomanią i mający na względzie jedynie własną, jakże często uzyskiwaną kosztem zniszczenia czyjejs pracy wielkość.

Na szczęście sygnał wzywający do stołówki na południowy posiłek regeneracyjny potencji twórczej przerwał te rozmyślenia, bo sam nie wiem, dokąd mógłbym w nich zabrnąć. Drzwi od pokoi autorskich zaczęły się otwierać, korytarz z wolna zapełnił się autorami zdążającymi pośpiesznie w stronę windy. Ja i Anka, nic już więcej nie mówiąc, odeszliśmy od okna przyłączając się do nich. Stołówka autorska mieściła się na siódmym piętrze Koncernu, naprzeciw redaktorskiej; Krytycy mieli swoją, na drugim, bardziej luksusową. Wyraźny podział na grupy zawodowe, pilnie przestrzegany w Koncernie, miał nie tylko na celu odizolowanie Krytyków od obu grup niższego personelu wydawniczego, lecz i utrzymywanie stałych antagonizmów między tymi dwoma grupami: dzięki owym podziałom i umiejętnie podsycanym plotkom (zawsze znalazł się ktoś, kto twierdził, że ..im”, tym z grupy drugiej, powodzi się znacznie lepiej, że mają większe pokoje, lepsze wyżywienie i moc innych korzyści, uzyskiwanych, oczywiście, kosztem tej grupy, do której opowiadający należał). Krytycy mogli wygrywać redaktorów przeciw autorom i na odwrót, co ułatwiało rządzenie jednymi i drugimi.

Spóźniliśmy się trochę, stołówka była pełna. Miejsc przy stołach było co prawda jeszcze sporo, ale stłoczona, kilkakrotnie zakręcająca kolejka do stanowisk przydziału wypełniała szczelnie cały środek pomieszczenia, utrudniając dociśnięcie się do stolików. Szczęśliwcy, którym wydano już regeneracyjny przydział, przeciskali się z trudem pomiędzy kolegami, unosząc nad głowami talerze z otrzymaną potrawą.

Kilku znajomych pozdrowiło mnie z daleka, ale reszta nie zwracała na nas żadnej uwagi, zbyt zaabsorbowana utrzymaniem zajętego miejsca w masie ludzi tłoczących się do lady przydziałowej. Przepchnąłem jakoś Ankę, znajomą pisarkę, stanąłem za nią, nadchodzący już po nas zaczęli dociskać z tyłu; ktoś leżał mi dosłownie na plecach, nie mogłem się obrócić. Nerwowo zacząłem szukać mojej Karty Regeneracyjnych Przydziałów, drżąc, jak zawsze, że mogłem ją zgubić — w takim przypadku nie dostałbym nic aż do końca miesiąca.

Na szczęście wydawanie szło szybko; po niespełna dwudziestu minutach kotłowania się w tłoku, spocony, wymięty i zdyszany stanąłem przed jednym z pięciu robotów obsługi (w stołówkach autorskiej i redaktorskiej nie zatrudniano do obsługi ludzi).

— Brizol z pieczarkami — powiedziałem do białej lakierowanej tarczy pałubiastego korpusu; robot zamrugał serią pełgających światełek na czarnym ekraniku wmontowanym w sam środek tarczy i zameldował:

— Brizol właśnie się skończył. Może być befszytk.

— Dobrze. Befszytk z pieczarkami.

— Kartę przydziału proszę.

Podąłem niebiesko-zielony kupon, nieco wymięty od kurczowego ściskania go w ręku, szczęknął przecinak, gdy robot wyciął z karty kwadracik oznaczony dzisiejszą datą.

— Befszytk z pieczarkami? — powtórzył melodyjnym tenorem. — Chwileczkę...

Szeroki, czarny kabel na ułamek sekundy otoczył mój nadgarstek, w ekranie zamigotały niespokojne, przecinające się linie. Robot kończył, jakby nie było tej prawie niezauważalnej

przerwy:

— Przykro mi, ale pieczarki i befszyk to za dużo cholesterolu. W tym tygodniu jest pan już na granicy normy...

— A więc sam befszyk. Bez pieczarek. — Speszony, zerknąłem na dwóch innych autorów obsługiwanych przez boczne persfity tego samego robota; im ten cholernik niczego nie kwestionował.

— Niestety, tylko grzanka z rzeżuchą. Do tego główka sałaty. Jak pan zapewne wie, zawiera witaminę E, a z tym nie najlepiej u pana. Sole potasu, manganu i magnezu też się panu przydadzą. Trzeba dbać o kondycję twórczą... Nie próbowałem z nim dyskutować — wiedziałem, że to na nic. Wściekły, odebrałem swój przydział. Anka gdzieś mi już znikła, gdy przepychałem się do stolików z tą wstrętną zieleniną, zobaczyłem Krzysia Werblina: koło niego było wolne miejsce, dawał mi znaki, że zarezerwował je dla mnie.

— Jak poszło? — spytał, gdy wreszcie docisnąłem się do stolika. Oczywiście chodziło o rozmowę z Krytykiem; w czwartki tylko ten temat przewijał się w rozmowach. Z urywków zdań dochodzących od sąsiednich stolików wnioskowałem, że ten, dzisiejszy, nie tylko dla mnie był klęską.

— Trudno gorzej — mruknąłem, usiłując wśliznąć się jakoś na miejsce. — A tobie?

— Nieźle. Wiesz, Mędrzyckiemu zdarza się czasem „dzień dobroci dla zwierząt”. Dziś właśnie miał taki dzień... Wiedziałem, nie tylko ja zresztą, jak nie ja jeden próbowałem przestawić się na poezję, by móc się dostać do sekcji Mędrzyckiego. Niestety, nie miałem w sobie ani odrobiny zdolności w tym kierunku, moje wiersze były po prostu przykładową i niczym nie skażoną grafomanią... Zamilkliśmy. Od stolika po prawej doleciał strzęp rozmowy:

— ...dziwisz mu się? Niewiadomski powiedział, że „horyzont prawd psychologicznych, z których autor pragnie uczynić prawdy artystyczne, jest ograniczony, podobnie jak sam sposób językowej realizacji tych pomysłów”. A to dobra książka, naprawdę — czytałem, pożyczył mi rękopis...

— Mnie powiedział, że książka jest „po prostu wtórna w stosunku do prozy jako takiej i mojej pierwszej powieści”, a jakoś żyję i nie zatruwam żyda innym...

A propos, czy ty rozumiesz może, co znaczy „wtórna do prozy jako takiej”? Bo ja myślałem godzinę i nic nie wymyśliłem...

Poczułem zniechęcenie, większe niż kiedykolwiek. Gryząc ze wstrętem grubo obłożoną rzeżuchą grzankę, starając się nie widzieć befszyka znikającego szybko z Krzysiówego talerza, powiedziałem:

— Wiesz, stary,, mam już czasami dość. Właściwie nawet nie byłbym bardzo zmartwiony, gdyby mnie wywalili z Koncernu...

— Zwariowałaś? — oczy Krzysia zrobiły się okrągłe, wyglądało, że zaraz zacnie dławić się wielkim kęsem befszyka. — Zdechniesz z głodu, przecież nie masz co marzyć o innej pracy. W Centralnym Komputerze Rozdziału Zatrudnienia twój numer nosi sygnaturę „T”. Masz talent i talentem powinieneś służyć społeczeństwu. A jeśli nie zechcesz, zostaniesz podciągnięty do kategorii pasożytów społecznych, dostaniesz Żółtą Kartę, jako złośliwie uchylający się od pracy...

— To, co robimy, uważasz za służenie społeczeństwu? Ależ my tylko godzimy się brać udział w żenującej komedii, zmierzającej do tego, by społeczeństwo ogłupić...

— Cii... — Krzyś syknął ostrzegawczo, wskazując głową stolik po lewej stronie, gdzie siedział autor, co do którego byliśmy niemal pewni, że donosi Krytykom. Potem, udając, że sięga po solniczkę, schylił się ku mnie, mówiąc szeptem:

— Przecież musimy z czegoś żyć i coś robić, a to oznacza — godzić się na porządki panujące w Koncernie. I musimy mieć kogoś, kto czyta nasze dzieła — czy wyobrażasz sobie, jak ciężko byłoby

pisać, gdyby się przy tym wiedziało, że nikt, żaden człowiek, nigdy tego nie przeczyta? Więc muszą istnieć Krytycy, nie ma innego wyjścia...

— Jest. — Nie wiem, skąd wzięła się we mnie owa pewność, aż takie zdecydowanie; może po prostu zebrało się już zbyt wiele. Pochyliłem się też w stronę Krzysztofa, sztywna okładka staroświeckiego notesu, który wciąż miałem na piersiach, zaczęła mnie uwierać, ten ucisk był jak przypomnienie. — To, co robimy, powinno być naprawdę dla ludzi... Rozumiesz — no, żeby nasze książki mógł czytać każdy... Każdy, kto tego chce. A my — żebyśmy . mogli pisać to, co czujemy, to wszystko, co w nas jest, a nie te bzdury pisane pod dyktando Krytyków...

— Jak ty to sobie praktycznie wyobrażasz?

— Zwyczajnie. — Gdy z pozorną beztróską wymawiałem to słowo, poczułem nagły skurcz gardła; to, co zamierzałem powiedzieć, wydało mi się nagle szaleństwem. Mimo to brnąłem dalej: — Książka powinna być pisana przez autora tak, jak on chce. Wydrukowana nie w jednym egzemplarzu, a w kilku tysiącach egzemplarzy. Nie po to, aby leżała w archiwum, lecz by czytali ją wszyscy...

— Tak jak komiksy? Ależ... To przecież niemożliwe. Tak jeszcze nigdy nie było.

— Było — powiedziałem niespodziewanie twardo. — I to całkiem niedawno; niecałe sto lat temu...

— Skąd wiesz?

Było widocznie coś takiego w moim głosie czy twarzy, że nie próbował kwestionować tych rewelacji, pytał jedynie, skąd mam informacje. Ścisząc głos jeszcze bardziej zacząłem opowiadać o pamiętniku pradziadka, o wszystkim, co w nim znalazłem, czego się dowiedziałem. Wyciąganie wniosków pozostawiłem jemu. I w miarę jak mówiłem, widziałem, jak w jego oczach niedowierzanie, zdumienie, ustępuje miejsca... nie, tego czegoś nie potrafiłem nazwać, było mi całkiem nie znane. Kiedy umilkłem. Krzysztof powtórzył, z tym samym błyskiem w oczach:

Autor piszący według własnych zamierzeń... Sam szukający tematu, tworzący bohaterów, ich osobowość, przeżycia... Książka wydrukowana w ilości egzemplarzy wystarczającej, by każdy, kto tego zechce, mógł ją przeczytać, ocenić... Sam — nie z recenzji Krytyków... Stołówka opustoszała, byliśmy w niej we dwóch tylko, z korytarzy dochodził jęśliwy sygnał oznaczający koniec przerwy regeneracyjnej: za chwilę nie będziemy mieli już prawa przebywać tutaj, powinniśmy znaleźć się przy biurkach, nad maszynami, w swoich pokojach. Krzysztof wyciągnął do mnie rękę przez stolik — twarz wciąż miał odmienioną:

— Daj. Odetchnął głęboko i zaraz powtórzył — z takim samym uporem, tą samą determinacją: — Jeśli to wszystko prawda... ja to muszę przeczytać. Proszę cię. Piotr — pożycz mi ten pamiętnik choć na jeden, dwa dni. Proszę cię, daj.

Sięgnąłem pod koszulę po notes.

Sobotnie narady odbywały się w największej auli Koncernu, miejsca zajmowaliśmy sekcjami — redaktorzy po lewej, autorzy po prawej stronie; na podwyższeniu, za stołem prezydialnym zasiadali Krytycy. Sekcja Prozy Współczesnej znajdowała się na samym przedzie; wśliznąłem się na swoje miejsce pomiędzy Tomkiem Smugą, a Romanem Wójcickim (siedzenia według kolejności alfabetycznej pseudonimów przestrzegano skrupulatnie), starając się nie włączyć w oczy Wróbleickiemu, chociaż nadzieja, że nie dostrzeżę mnie może o mnie zapomnieć, była iluzoryczna.

Do auli szybkim krokiem wszedł Naczelny Krytyk — łysiejący i energiczny, którego główną cechą było, że działał szybciej, niż myślał; pozorna rzutkość była efektem odruchu sięgania do włącznika videotelefonu, zanim jeszcze dosłuchał sprawy do końca. Na stanowisko Naczelnego predestynowały go raczej rozległe znajomości i poparcie wysoko postawionych osób niż rzeczywiste

zalety; na szczęście dla Koncernu, ważniejsze swoje decyzje konsultował z Komputerem Organizacji i Zarządzania — widocznie tempo myślenia komputera rekompensowało fakt, że trzeba mu jednak było dostarczać kompletnych danych.

Naczelny usiadł, strzepując urojony pyłek z perłowszarego, świetnie leżącego kombinezonu (na pewno nie nabył go w Centrali Przydziałowej ani nawet w żadnej z kooperatyw z automatyczną, szyjącą według zunifikowanych wzorców, obsługą), obciągnął srebrzystoszarą koszulę, zaczął wyjmować z teczki kasety z przypominaczami. Wróblecki, siedzący po jego prawej stronie, pochylił się z serwilistycznym uśmiechem, podsuwając mu skrzynkę konferentora. Starościk, siedzący z drugiej strony podawał mu audiofon. Pozostali Krytycy: Misiewicz, Skobel, Ludwikowski, Rytko, Niewiadomski — nie mówiąc o tych siedzących jeszcze dalej — także usiłowali ściągnąć w jakiś sposób na siebie jego uwagę. Może tylko Pietraszek i Mędrzycki wysilali się trochę mniej od innych.

Naczelny chrząknął; zaczynała się najtrudniejsza do odsiedzenia część: wysłuchanie — i to w nabożnym skupieniu — jego przemówienia otwierającego naradę. Przemówienia te budowane były według ustalonego schematu: część pierwsza — świetlane perspektywy i nieustanny rozwój Koncernu, część druga — stojące przed zespołem ambitne zadania, którym autorzy na pewno zdołają sprostać, jeżeli tylko zmobilizują wszystkie swe możliwości i dzięki oparciu, jakie mają w kierującej ich poczynaniami „wysoko kwalifikowanej kadrze Krytyków, tych pracujących z najwyższym zaangażowaniem, o wysokim morale ludzi”, część trzecia — sporadyczne przypadki nieudolności i opieszałości („których tolerować nie będziemy”) niektórych pracowników Koncernu; tutaj następowała przerwa. Krytycy Działowi wymieniali z nazwiska lub pseudonimu tych, którzy narazili się im w ciągu minionego tygodnia. Po dokonaniu przeglądu winnych „poprzez swe ze wszech miar naganne postępowanie utrudniających Koncernowi, jako całości, osiągnięcie wytyczonych celów” odbywało się coś w rodzaju wykładu o postawach etyczno—zawodowych, jakich Końcem oczekuje od autorów i redaktorów. Po czym następowało zakończenie, utrzymane w tym samym, nachalnie dydaktycznym i pompacyjnym stylu. Te cotygodniowe przemowy tak niewiele różniły się między sobą, że z powodzeniem można by nagrać i odtwarzać za każdym razem jedną z nich, gdyby Naczelny nie należał do ludzi upajających się mówieniem, czerpiących dostrzegalną dla wszystkich rozkosz z faktu zabierania głosu.

Na szczęście lata w Koncernie wyrobiły we mnie, doprowadzoną obecnie do perfekcji zdolność niesłyszenia, przy zachowaniu wszelki eto pozorów zasłuchania; po pierwszych słowach, upewniwszy się, że dzisiejsza narada w niczym odbiegać nie będzie od dwustu kilkudziesięciu, które miałem za sobą, wyłączyłem się z mocnym postanowieniem, że skoro już muszę znosić system Koncernu — nie oznacza to jeszcze, abym pozwalał się do reszty ogłupiać.

Próbowałem wyobrazić sobie letnie popołudnie nad stawem: senne pluśnięcie ryby, zielony kozuch rzęsy, zapach szlamu i tataraku w upale, lot jaskółek muskających piersią wodę — gdy Tomek Smuga zaczął trącać mnie w ramię; trwało dłuższą chwilę, nim oprzytomniałem na tyle, by pojąć, że czegoś chce ode mnie. Nie odwracając od podium przybranej w wyraz zasłuchania twarzy, zerknąłem na jego ręce; trzymał je nisko, na wysokości kolan, usiłując wcisnąć mi coś, co wyglądało na rulon zwiniętych kartek przepisane na maszynie tekstu. „Co to jest?” — chciałem zapytać, ale Wróblecki patrzył właśnie wprost na mnie; bałem się, że dostrzeże ruch ust. Tomek wciąż pchał mi rulon, więc wziąłem go i ostrożnie, by nie zwrócić uwagi żadnego z siedzących w prezydium, zacząłem rozwijać. Mimo woli dotarł w tej chwili do mnie urywek przemowy Naczelnego Krytyka:

— ...zapewne wszyscy zdajemy sobie sprawę, że posłuszeństwo wytycznym...

Był to istotnie tekst, pisany bardzo gęsto, bez interlinii, jak nie pisze się maszynopisów autorskich; trochę już bardziej zaintrygowany spojrzełem na leżącą na moich kolanach stronę.

Zdębiałem.

...i chciałbym tylko tego: pisać najlepiej, jak potrafię. Myślę, że to jest rzecz najważniejsza dla każdego pisarza: pozostać wiernym sobie. Pisać tak, jak widzi, jak czuje i jak chce. Tylko wtedy to, co dajemy z siebie, co oblekamy w słowa, może mieć jakąś wartość, może nieść z sobą prawdę...

— Skąd to masz? — zaszepotałem, zdumiony, zaskoczony za bardzo, abym w tej chwili mógł zważać na Naczelnego, Wróbleckiego i wszystkie rygory Koncernu. — Skąd to masz, Tomek?

Uciszył mnie ruchem dłoni. Chwilę wahał się, ale widocznie odgadł z wyrazu mojej twarzy, że — jeśli nie odpowie — nie zaprzestaną pytać, prędzej czy później zwracając na nas uwagę Krytyków, którzy, także śmiertelnie znudzeni rytuałem niezbędnym dla podtrzymywania ich władzy i prestiżu, zachowując pozory lojalnego solidaryzowania się z głoszonymi przez Naczelnego formułkami, błędzili oczami po sali. Znów ruchem ręki dał znak — abym czekał; sięgnął do kieszeni bluzy po autopis i, nie odrywając oczu od podium, zaczął spieszenie i krzywo pisać na odwrocie czytanej przed chwilą przeze mnie strony:

„To jest pamiętnik pisarza z drugiej połowy dwudziestego wieku. Od wczoraj krąży w odpisach po całym Koncernie. Przeczytaj, przepis, podaj dalej”. Krzyś Werblin! Przypomniałem go sobie w chwili, gdy wyciągał do mnie rękę w pustej stołówce, w dobiegającym z korytarza jazgocie sygnałów przynaglających do pracy, i wyraz jego oczu, gdy mówił: — „Daj”. Ogarnęła mnie wściekłość — jak mógł mi zrobić to właśnie on, mój przyjaciel? Ale ów moment nieopanowanego gniewu (i strachu także — ślepego; bo nawet nie zdążyłem zastanowić się, co może mi za to zrobić Końcem, ani dlaczego, czytanie pamiętnika pradziadka miałoby być karalne) minął niemal tak samo szybko, jak się pojawił. Odruchowo odwróciłem trzymaną stronę tekstem do góry, powędrowałem wzrokiem po liniach maszynopisu — i choć nie było to już znane mi, staroświeckie, odręczne pismo pradziadka, zdania, znane prawie na pamięć, były wciąż takie same:

...myślę także, że właśnie pisanie prawdy — tej naszej subiektywnej, przez nas odczutej prawdy — jest już nie tylko przywilejem, a obowiązkiem autora. Bez tego nigdy nie byłoby — nie będzie literatury. Jeżeli kiedykolwiek zaczniemy pisać pod czyjekolwiek dyktando, z cudzej, nie z własnej inspiracji — równie dobrze możemy nie pisać wcale. Bo to, co napiszemy, nie będzie godne czytania...

— ...tylko pod przewodnictwem fachowego Krytyka, tylko z ich inspiracji powstawać mogą dzieła godne upamiętnienia, dzieła, przynoszące zaszczyt naszemu Koncernowi. Nie wątpię, że rozumieją to wszyscy, i wszyscy — a w każdym razie większość obecnych na tej sali — dadzą niezłomny odpór próbom niezdyscyplinowanych jednostek, usiłujących podważyć bądź łamać zasady, wypracowane w ciągu kilkudziesięciu lat istnienia Koncernów...

Podniosłem oczy i spojrzałem po sali: rzędy udających zasłuchanie autorów i redaktorów, zadowolone twarze Krytyków ułożyły się nagle w obraz widziany jak gdyby po raz pierwszy — poczułem odrazę do owych władców i ich niewolników wysłuchujących upokarzających pouczeń — do tego fałszu, w którym ja brałem udział także. Bunt, rosnący we mnie przez ostatnie dni... nie, nie dni; to narastało przez lata mojej wyrobniczej pracy w Koncernie, lata zadawanego sobie codziennie przymusu, aby nagiąć się do sztucznie stworzonego systemu, istniejącego wyłącznie po to, aby zapewnić garstce wybrańców nienależną im władzę... I kiedy tak myślałem, poczułem nagle, jakby coś we mnie pękło, jakby zerwała się jakaś tama — zdążyłem jeszcze pomyśleć: jak długo można być niewolnikiem...

Stałem. Nie wiem, jak to się stało i kiedy się podniosłem; po prostu nagle wstałem i wszystkie głowy zaczynały odwracać się w moją stronę; Naczelnny Krytyk przerwał swoje wywody i z

otwartymi ustami przyglądał mi się także — wyglądał jak wielka ryba.

Kompletna cisza, nagłe zamarcie sali i oczy patrzące na mnie zewsząd z napięciem i wyteżoną uwagą speszyły mnie; serce waliło, zaczynałem się pocić. Zdarzało mi się dawniej, że w czasie sobotnich przemówień Naczelnego czułem gwałtowny bunt; zaczynałem wtedy wyobrażać sobie, co by się stało, gdybym wstał i — w ten jego potok wymowy — powiedział głośno, wyraźnie, na całą salę, jedno dobitne, niecenzuralne słowo; wyobrażanie sobie reakcji na taki wyskok przerażało mnie dostatecznie, by powściągnąć moje niewczesne zapędy. Teraz było tak właśnie, jak w moich wyobrażeniach: stałem i wszyscy patrzyli na mnie. Ze zdumieniem, zgorszeniem, dezaprobatą — różnie. W ustach mi zaschło, nie mogłem wydobyć słowa. I choć tym razem chodziło o coś naprawdę istotnego, być może wreszcie załamałbym się i usiadł, gdyby niechcący nie pomógł mi Misiewicz:

— Pan się źle czuje? — spytał z troską; być może zresztą wyczuł moje napięcie i próbował podsunąć mi usprawiedliwienie tego niesłychanego wybryku — jak zwykle, nie rozumiejąc, o co właściwie chodzi, starał się jednak załagodzić sytuację. — Posłać po medautomat?

— Nie. — Niespodziewanie odzyskałem zdolność mówienia; głos miałem suchy, szorstki, ale dawał się słyszeć. — Czuję się całkiem dobrze. Chciałem tylko powiedzieć...

— To jeszcze nie jest moment przewidziany na wolne wnioski autorów — przerwał mi pogardliwie Wróblecki. — Jeśli pan spał i nie wie, informuję, że jesteśmy przy pierwszym punkcie porządku dziennego: przemówienie Naczelnego Krytyka...

— Wiem. — Jeśli, by zacząć, potrzebny mi był bodziec, to właśnie go dostałem. — I uważam, że dalsze wysłuchiwanie takiego przemówienia nie ma żadnego sensu...

— Chętnie zapoznam się z konstruktywną krytyką... o ile będzie istotnie konstruktywna — próbował, odzyskując mowę, ratować prestiż Naczelnego. — Jednakże wszystko we właściwym czasie...

— Uważam chwilę obecną za chwilę najwłaściwszą. I tak zbyt wiele czasu zostało zmarnowane — w miarę mówienia zacząłem się rozpędzać, wiedziałem, co mam mówić, nie było we mnie niepewności czy lęku. Bez wahań rąbałem dalej: — Uważam, że system, na jakim oparto Końcem, nie zdaje egzaminu, chyba że jako sposób niszczenia naszych indywidualności, talentów... Więcej: niszczenia tego, co niegdyś nazywano literaturą, a co w Koncernie jest tylko nędzną jej imitacją. Żądam swobody i szacunku dla twórców. Protestuję przeciwko hegemonii Krytyków, spychaniu nas, autorów, do roli automatów, mających ściśle wykonywać ich polecenia. Protestuję przeciwko oglupianiu odbiorców komiksami i wszelką inną szmirą. Te postulaty stawiam jako temat dzisiejszej narady i żądam, by zostały one przedyskutowane przez wszystkich, z równoprawnym udziałem autorów i redaktorów w dyskusji...

Gdybym na środek sali rzucił bombę czy jakiś inny wybuchowy zabytek z Okresu Niepokojów, efekt chyba nie mógłby być większy. Sala za moimi plecami wciąż była jak skamieniała, ale Krytycy, wszyscy, co do jednego, porwali się ze swoich miejsc; Naczelnego, stojący od początku mojego wystąpienia, chwycił się teraz oburącz za gardło, oczy wyszły mu z orbit; bełkotał coś bez związku, chrapał i siniał, zupełnie, jakby się dusił. Potrzebował dłuższej chwili, by opanować się na tyle, żeby ów charkot stał się choć trochę zrozumiały:

— Pan oszalał! To anarchia! Bezczelność! Ja panu... ja pana...

Krzyk znów utonął w niezrozumiałym bełkocie. Naczelnego, purpurowy z zatykającej go furii, słaniając się na nogach ponownie starał się rozerwać obu rękami kołnierzyk; w tej samej chwili Wróblecki chlusnął mu w twarz wodą z konferencyjnej karafki. Naczelnego zachłusnął się, rozkaszał i — zgięty wpół, zlany wodą, bardziej niż przedtem podobny do wielkiej ryby (tyle, że ryby porażonej jakąś dziwną chorobą) — zaczął się cofać od prezydialnego stołu; Wróblecki wykorzystał ten

moment, by jednym skokiem znaleźć się na jego miejscu. Usłyszałem za plecami rumor wstawania, odgłosy przewracanych krzesel; w całej sali podnoszono się z miejsc, by widzieć lepiej. Wróblecki wyrzwał w stół pięścią:

— Spokój! — wrzasnął tak, że wystąpiły mu żyły na czole. — Wszyscy spokój, natychmiast. Dość tych ekscesów! Wyciągnę konsekwencje...

Rumor ucichł, sala spokorniała. W tę ciszę Wróblecki krzyknął znowu, kierując to już do mnie:

— Jazda stąd! Wynocha na zbity pysk! W Koncernie nie ma miejsca dla podżegaczy i anarchistów!

— Zwariował! Obrzucać błotem Krytyków! Kwestionować znaczenie tych wspaniałych fachowców w naszym Koncernie! — zapiszczał tenorek za moimi plecami. — Wśród nas, autorów, nie ma miejsca dla takich elementów! — Odwróciłem się, ale nie rozpoznałem tego, kto krzyczał — widocznie schował się za plecy innych. Zobaczyłem za to Krzysia Werblina wskakującego na krzesło; jego zwichrzona czupryna wznosiła się nad rozfalowanymi głowami, twarz miała ten sam wyraz co wtedy, w stołówce — tak w każdym razie mi się wydawało; z tej odległości mogłem się przecież mylić.

— Koledzy! — zaczął wołać. — Słuchajcie, Piotr ma rację! Zaczniemy wreszcie mówić o tym, co nas naprawdę nurtuje, zamiast pokornie wysłuchiwać frazesów! Wszyscy, od dawna, mamy dosyć Krytyków i ich rządów. Wszyscy wiemy, że to, co oni nazywają inspiracją, oznacza w gruncie rzeczy zniewolenie autorów, podporządkowanie nas ludziom pozbawionym talentu — że niszczy już nie tylko nasze możliwości, ale i zdolność pisania w ogóle...

— Przesada, nam jest dobrze! Inspirujące wskazówki naszych wysoko kwalifikowanych Krytyków... — zapiszczał ten sam głos co i przedtem, ale umilkł nie dokończywszy zdania — robiło to wrażenie, że ktoś zatkał mu usta.

— Nieprawda! Nie słuchajcie, co mówią konfidenci Krytyków! Sami wiecie, że system Koncernu wyjaławia was, niszczy, wysysa wszystkie siły! Że z każdym rokiem piszecie coraz gorzej! Tak, tak, komiksy wciąż można z tego robić, ale co warte są wasze książki?

— A kto to może ocenić, jeżeli odbierzemy prawo wyrokowania Krytykom?

— Zatkajcie go! To jeden z tych, co się podlizują Krytykom za dodatkowy przydział papieru i premie komiksowe!

— Durnie! Jak nie będzie Krytyków, kto będzie recenzował nasze książki w prasie? Skąd ludzie będą mogli dowiedzieć się, że któryś z nas w ogóle jakąś książkę napisał?

Sala huczała, przekrzykiwano się, słyszałem tylko część — to, co wołali stojący najbliżej mnie. Niezdolny się poruszyć patrzyłem ze zdumieniem na to, co nagle stało się z przytłamszonym tłumem wyrobników Koncernu. Było tak, jakby zbyt długo trzymana pod ciśnieniem para rozsadzała zawory.

— Koledzy! Przyjaciele! — Anka Żbikówna wskoczyła na drugie krzesło, na twarzy miała wypieki, ciemne włosy opadały na oczy, odgarnęła je ręką. — Wielu z was przeczytało „Pamiętnik”, który krąży w odpisach. Tym, którzy nie czytali, powiem krótko, jak było kiedyś, nim powstały Koncerny. Autor sam sobie wybierał temat książki, pisał ją według własnego planu — tak jak zamierzał, jak rozumiał i czuł. Drukowano ją w kilku tysiącach egzemplarzy i każdy kto chciał, mógł czytać. Ludzie mogli recenzje zamieszczane w prasie skonfrontować z własnymi sądami — nawet jeżeli Krytyk obsmarował ci książkę, liczyło się naprawdę tylko to, czy ludzie ją kupią... najważniejsze dla autora było zdanie Jego czytelników... Musimy wrócić do tamtych, dawnych metod...

— Słuchajcie! Anka ma rację! Precz z Krytykami! Książka dla czytelników!

— Precz z inspiracją twórczą! Piszemy odtąd sami!

— Niech żyje swoboda twórcza!

— A skąd weźmiesz papier, baranie?

— Sam osioł! Wydawać książki zamiast tych kretyńskich komiksów!

— Obciąć przydziały na czasopisma, drukujące recenzje! Niech teraz Krytycy piszą je w jednym egzemplarzu, tak jak my pisaliśmy!

— A co z redaktorami?

— Chyba czytałeś „Pamiętnik”? No, więc... Będą nareszcie współpracować z nami nad książką...

— Precz z samowolą Krytyków!

— Spalić komiksy!

— Zabronić Wróbleickiemu, Starościkowi, Niewiadomskiemu i innym takim jak oni wykonywania zawodu! My będziemy udzielać prawa oceny tylko tym, którzy robią to obiektywnie!

— Żaden z nich nigdy nie był obiektywny!

— Przejaskrawiasz! Mędrzycki i Pietraszek... Misiewicz...

— Misiewicz nie odróżnia fraszki od eseju!

— Sami będziemy oceniać się nawzajem! Precz z Krytykami! Niech żyje wolność Twórców!

Nikt nie pamiętał już, że Krzysztof i ja proponowaliśmy ogólną dyskusję na ten temat; próba znalezienia polubownego wyjścia z dotychczasowej sytuacji przemieniła się nagle w spontaniczny wybuch, w bunt, nad którym nikt już panować nie mógł. Na sali robiło się niezłe piekło, nikt nikogo nie słuchał, wszyscy krzyczeli, wiwatowali, wskakiwali na krzesła; po latach upokorzeń, milczenia i przymusu zachłysnęliśmy się wolnością — już sama tylko możliwość wykrzyczenia wszystkiego, co dusiliśmy w sobie tak długo, była jak łyk czystego powietrza dla ludzi od dawna go pozbawionych. Ktoś przywłókł z magazynu stos najgłupszych komiksów, redaktorzy, podnieceni na równi z autorami, wydzielali z nich kartki, zgniatali w barwne kule, przerzucali się nimi jak piłkami. Ktoś zaczął robić papierowe strzały — jedna i druga poszybowała w kierunku stołu przydziałnego, za którym, jak za sztańcem, skupili się Krytycy. Kilku autorów zdążyło najwidoczniej włamać się do archiwum — wrócili bocznymi drzwiami, dźwigając naręcza własnych, pisanych pod dyktando Krytyków książek; z ponurą determinacją darli je teraz na strzępy, spoceni i zziązani — immortowany papier bardzo trudno jest podrzeć. Ktoś inny próbował podpalić ten stos — na szczęście odciągnięto go, zanim mógłby to zrobić; podłoga, ściany i sufit sali były co prawda niepalne i żaroodporne, jak wszystko w Koncernie, ale udławilibyśmy się dymem. Inni autorzy klepali się po plecach, skakali, wybuchając niespodziewanym śmiechem, rzucali się na szyję Redaktorom — w pobliżu mnie ogromny brodacz, chyba z Sekcji Science–Fiction, zaczął kręcić się z Anką w jakichś niedźwiedziach skokach; zabawne było patrzeć na taniec tej tak niedobrej pary. Jednak powoli ta równie żywiołowa, co bezsensowna euforia zaczynała przygasać, ludzie uspokajali się, poważnieli, zaczynali się skupiać wokół Krzysia Werblina i Andrzeja Tygrysowicza z Sekcji Literatury Historycznej. Przepisnąłem się do środka tego kręgu, Krzys zauważył mnie, uśmiechnął się z roztargnieniem, ale dał znak, żebym podszedł. Pochyliłem się nad niewielkim skrawkiem wolnej posadzki: na czystym kawałku strony tytułowej komiksu zobaczyłem tytuł: „Konwencja” i dalej, drobnym pismem Krzysztofa: „Autorsko–Wydawnicza z dnia 10. 05. 2084 r.”. W zapadłej nagle, pełnej przejęcia ciszy, ktoś zaczął czytać:

Art. 1. Mocą Konwencji niniejszej przyznaje się Autorom prawo do swobodnej twórczości, w którą nikt — bez zgody tworzącego Autora — nie może ingerować.

Art. 2. Praktyki zmierzające do narzucenia Autorom czyjegokolwiek zdania, pod pozorem tak zwanej inspiracji twórczej, są bezwzględnie wzbronione...

W tej samej chwili usłyszałem łoskot otwierających się naraz wszystkich drzwi sali — zwykłych

i awaryjnych. Podniosłem głowę: stały w nich uzbrojone w strzykawki medautomaty i roboty p.poż., kierujące ku nam groźne, trójkątne paszcze wyrzutników zamrażania, niewątpliwie wezwane przez Krytyków. Dotychczasowi władcy Koncernu przeszli do kontrataku.

Skamienieliśmy. Przez kilka sekund sala konferencyjna wyglądała jak gigantyczny zbiór rzeźb albo figur woskowych: znieruchomiali Autorzy i Redaktorzy stłoczeni w środku sali, nieruchomi Krytycy na swoim podium i automaty w drzwiach. W ciszy, jaka zapadła, nie słychać było nawet oddechów. Potem ktoś westchnął, ktoś się poruszył i — jakby właśnie na to czekały — automaty ruszyły. Zgrzyt toczących się w naszą stronę robotów otrzeźwił wszystkich; stojący najbliżej nich zaczęli chwytać krzesła — jedni zasłaniali się nimi, inni wrywali nogi i metalowe poręcze, by użyć w przeciwnatarciu. Krytycy cofnęli się pod ścianę, skupili w zwartą grupę, ale automaty szły dalej.

Pierwszy medrobot, który zamierzał wbić igłę strzykawki z superpaxilem w ramię stojącej w pierwszym rzędzie drobnej siwawej Redaktorki, oberwał krzesłem po łbie od stojącego przy niej Autora tak, że aż metalowe łapy załamały się pod nim; rozkraczony, z niekształtną banią głowy, chwiejącą się przez chwilę jak u zamroczonego człowieka, stał jeszcze chwilę, po czym runął, rozpryskując wokoło swoje miedziano-porcelanowo-krystaliczne wnętrze. Jakby to było hasłem, wszyscy rzucili się na roboty, waląc szczątkami krzesel i starając siłą przede wszystkim trafić w ośrodki dyspozycyjne lub wytrącić zbiorniki zamrażającej piany czy też strzykawki z chwytaków. Zakotłowało się, przez jakiś czas słychać było tylko trzask pękającego drewnoplastu i łomot atakowanej nim blachy; właściwie nawet nie trwało to zbyt długo. Było nas tak wiele, że w ciągu kilku minut większość robotów padła, a reszta — zgrzytając, brzęcząc lub bełkocząc swoje, rozkojarzone teraz od uderzeń programy, musiała się wycofać. Widząc klęskę robotów Krytycy w popłochu rzucili się ku drzwiom.

Jeżeli dotąd drzemała jeszcze w kimkolwiek chęć dyskusji, wspólnych ustaleń, dogadania się z Krytykami — to teraz nie pozostało z niej ani śladu; zagrzewając się bojowymi okrzykami (wśród których najczęściej powtarzało się „precz z Krytykami” i hasła wolności twórczej) popędziliśmy za nimi. Wśród goniących Autorów i Redaktorów nie było chyba nikogo, kto nie doznałby upokorzeń i dotkliwych przykrości od któregoś z Krytyków. Toteż nie byle jaką satysfakcją sprawiał widok władców Koncernu zmykających teraz korytarzami.

Niestety, nie udało się nam przepędzić ich zupełnie. Kilku, najbardziej zniechęconych (ku mojej satysfakcji był wśród nich i Wróblecki) udało się pod wieczór wytropić za pomocą przerobionych naprędce automatów drukarsko-korektorskich (spisywały się świetnie, poszukując Krytyków tak sumiennie, zawzięcie i metodycznie, jak gdyby byli błędami ortograficznymi) i wyrzucić ich za bramę Koncernu. Reszta jednakże zdołała w nocy przedostać się do gabinetu Naczelnego i tam zabarykadować. Nie przejęliśmy się tym specjalnie — po prostu pod zabarykadowanymi drzwiami wystawiliśmy automatyczne warty. Byliśmy pewni, że korektory będą pilnować dobrze; wystarczyło zastąpić w ich programach hasło „ktury” przez hasło „krytyk”, aby mieć pewność, że nie przepuszczą żadnego. My sami mieliśmy ważniejsze sprawy na głowie: usuwanie śladów kretyńskiej gospodarki Krytyków, planowanie nowych, własnych książek, konstruowanie planów wydawniczych na tych tytułach opartych, ustalanie zasad współpracy Autorów z Redaktorami — nie mówiąc już o mniej ważnych, a przecież także koniecznych, jak choćby przestawienie linii produkcyjnych, wciąż jeszcze wypluwających 1 000 000 egzemplarzy komiksów na dobę, ewidencjonowanie posiadanych zapasów papieru, zmiany w regulaminie Koncernu.

Po trzech dniach głodówki Krytycy poddali się zresztą sami. Posłaliśmy im trochę płatków syntowsianych (ja wprawdzie miałem ochotę nakarmić ich rzeżuchą, ale Krzyś przekonał mnie, że to już byłoby niehumanitarne), ale wyjść pozwoliliśmy dopiero wtedy, gdy negocjacje prowadzone za

pośrednictwem Pietraszka i Mędrzyckiego — jedynych Krytyków, z którymi Autorzy godzili się rozmawiać — zakończyły się podpisaniem Konwencji Autorsko—Wydawniczej nr 228, po raz pierwszy od niemal stu lat uwzględniającej postulaty Autorów. Z tym najważniejszym: zagwarantowaniem nam pełnej swobody twórczej na pierwszym miejscu, oczywiście. Nieco zmizerniali i przytłamszeni Krytycy rozeszli się do wyznaczonych im gabinetów; przydzieliliśmy im najgorsze z dotychczasowych pokojów pracy autorskiej, te, które oni zazwyczaj wyznaczali poetom i autorom „komiksowe nieproduktywnym”. Na razie mieli niewiele do roboty; musieli czekać na pierwsze nasze książki, by mieć co recenzować. Niektórzy z nich już od pierwszych dni zaczęli okazywać swoje niezadowolenie, inni, przeciwnie, twierdzili, że w głębi duszy od dawna uważali, że należałoby zmienić przestarzały system, którego błędy i wypaczenia widzieli jak na dłoni — byli tylko po prostu przez resztę zastraszeni. Ci pchali się do Autorów z deklaracjami „służenia swoją pomocą i doświadczeniem zawsze, gdy tylko mogłoby być przydatne”. Ale nikt z nas nie zwracał na nich uwagi, podobnie jak na groźby Wróbleckiego i Starościka, którzy, pozostając wciąż poza Koncernem, usiłowali zastraszyć nas bojkotem innych Koncernów. Byli niegroźni: Koncern Autorsko—Wydawniczy, ten jeden, dla nas najważniejszy — był przecież w naszych rękach.

Kwietniowe słońce przesiewało się przez pierwsze liście kasztanów, nasycając ruchliwym światłem dawny gabinet. Naczelnego Krytyka, rozedrganymi plamami kładło na moim biurku, na stronach maszynopisu. Na chwilę oderwałem się od maszyny, popatrzyłem na rosnący stos kartek; tak, to, co robiłem, było naprawdę dobre, ta książka była prawdziwa. Pisząc dawałem z siebie wszystko, na co było mnie stać — teraz, bo kiedyś będzie mnie stać na więcej. Pierwszy raz w życiu pisanie nie sprawiało mi trudu, nie liczyłem czasu i stron; bywały dni, gdy po czternaste— czy piętnastogodzinnej harówce wstawałem od maszyny zmęczony jak katorżnik, a przecież wcale nie zniechęcony — dziwiąc się, jak i kiedy minęło tyle godzin. Teraz też pochyliłem się znowu nad maszyną, nie patrząc na jej licznik, nie interesując się tym, którą w tym dniu wkęcąc kartkę papieru. Zapisać następne zdanie — to było najważniejsze, bo za nim szło już inne, nie chciałem go utracić...

Usłyszałem szmer — coś pośredniego pomiędzy pukaniem a skrobaniem do drzwi. Spróbowałem udawać, że nie słyszę, ale to nic nie dało, odgłos powtórzył się, o wiele wyraźniejszy, nagłący i natrętny. Klnąc w duchu (najchętniej zrobiłbym to całkiem głośno) popatrzyłem na drzwi: ktoś uznał znowu, że musi ze mną mówić, że jestem mu potrzebny. To zwracanie się do mnie wszystkich i z wszystkim stawało się moją zmorą. Nie pomagały prośby i tłumaczenia, zdarzały się dni, w których po kilkanaście razy odrywano mnie od pracy. Za każdą taką wizytę płaciłem godziną chodzenia po pokoju, darcia kolejnych stron i zaczynania na nowo, nim znów zdołałem wrócić do porzuconej myśli i przerwane go tekstu. Stukanie powtórzyło się znowu, nieustępliwe, chyba jeszcze głośniejsze. Zrezygnowany, wcisnąłem włącznik zwalnicza zacisku. W otwartych drzwiach pojawił się Rys Poraj, Autor z Sekcji Literatury Popularnonaukowej, zdolny, nawet w czasach hegemonii Krytyków piszący niezłe książki.

— Bardzo przepraszam, ja tylko na chwileczkę... — był odrobinę speszony, jak każdy w pierwszym momencie; na moje nieszczęście to wstępne zażenowanie przechodziło im bardzo szybko. — Ale, widzisz, próbowałem już chyba wszystkich sposobów, tylko twoja interwencja może jeszcze coś pomóc...

— O co chodzi? — z rezygnacją wskazałem stojące przed biurkiem krzesło. — Ciągłe ta sprawa najnowszych kryształów encyklopedycznych?

— Nie, wiesz, z tym już w porządku. Sekcja Zakupów Pomocy Twórczych sprowadziła nareszcie... Swoją drogą zupełnie nie rozumiem, dlaczego musiałem się o nie aż upominać.

Dawniej... no, nic — nieważne... Tym razem chodzi o to, że nie mogę doprosić się od Wójcickiego zestawów neuro-fono-wizyjnych z wrażeniami sawanny. On pisze książkę przygodową dla młodzieży, w jednym rozdziale ma być właśnie sawanna... W porządku, ja rozumiem. Dałem mu trzy tygodnie, a on mówi dalej, że sam nie wie, jak długo zestawy będą mu jeszcze potrzebne... Pomyśl: on ma ten jeden, jedyny rozdział, a moja cała książka to „Flora i fauna sawanny”. Jak ją mam pisać, do stu tysięcy komiksów! Ci jego podróżnicy mogliby chyba wybrać się wreszcie gdzieś dalej! Niech już wyjedzie z tej choleralnej sawanny i niech mi ją odda...

— A bez tego nie możesz? No, zacząć chociaż...

— Zwariowałeś? Przecież ja nigdzie nie ruszałem się z naszego miasta. Informacje fachowe, zgoda, biorę z encyklopedii. Ale to nie jest podręcznik, nie mogę zanudzać czytelnika na śmierć. Muszę dać jakiś koloryt, klimat — żeby się to czytało... Skąd ci wezmę?

— Ile czasu on to już trzyma? Trzy tygodnie?

— Trzy.

— Daj mu jeszcze jeden, dobrze? Porozmawiam z nim.

— Ale po tym dodatkowym tygodniu będę miał zestawy do swojej wyłącznej dyspozycji?

— Postaram się. Zrobię, co będę mógł.

Poszedł. Nie zachwycony, ale już spokojniejszy. Chwilę patrzyłem za nim, na znów zamknięte drzwi, zastanawiając się, czemu przychodzą z takimi problemami właśnie do mnie, dlaczego nie próbują dogadywać się sami? Nie miałem czasu na dłuższe rozmyślenia — pukanie w drzwi rozległo się znowu.

Tym razem była to Rena Sumińska, młoda, nieśmiała Redaktorka z Sekcji Literatury Współczesnej. Usiadła na brzeżku krzesła, milczała chwilę, nim zaczęła niepewnie:

— Przepraszam, że przeszkadzam... Ale naprawdę ja już nie wiem, co robić...

Urwała, zaczęła wyglądać jakąś nie istniejącą fałdę na kraciastej spódniczce, podniosła na mnie oczy, spuściła znowu, splotła kurczowo palce. Pomyślałem, że pewnie przyszła ze skargą na któregoś z Autorów: nie pomyliłem się, bo kiedy wreszcie zdecydowała się mówić, usłyszałem:

— Pan Janusz Szczebrzeszyński złożył w zeszłym tygodniu książkę, tę, którą zapowiedział zaraz po Wagnaniu Krytyków... Przeczytałam uważnie. To jest niedobra książka, naprawdę. Najgorsza, jaką napisał. Można by ją poprawić, gdyby zgodził się ją gruntownie przerobić, ale on nawet nie chce rozmawiać o tym... Twierdzi, że ja i Krytyk... że jestem w zмовie z Krytykiem... że książka jest genialna, a my — tylko z zawiści...

— Kto robił wstępną recenzję?

— Pan Pietraszek. To jest naprawdę obiektywna recenzja... W tej samej chwili drzwi, które widać zapomniałem domknąć po wejściu Redaktorki, otworzyły się z trzaskiem, wbiegł — nie, raczej wleciał Szczebrzeszyński; w czarnej, obszernej pelerynie, z czerwonym szalem owiązanym kilkakrotnie wokół głowy, którego końce zwisały mu nad okiem; wyglądał jak... sam już nie wiem — dziewiętnastowieczny pięknoduch czy średniowieczny pirat? Ten strój miał chyba świadczyć o jego niezależności, może — fantazji twórczej, w istocie śmieszny; przygryzłem wargi, aby nie zdradzić swojego rozbawienia, ale na szczęście nie musiałem nic mówić, bo Janusz zaczął od progu:

— Słuchaj, to skandal! Składam w tym wydawnictwie maszynopis dzieła, jakiego ta parszywa oficyna nie widziała od początków istnienia, a ta id... chciałem powiedzieć: pani Redaktor Sumińska, twierdzi, że to się nie kwalifikuje do druku! Ja rozumiem: jak ktoś przez całe życie robił tylko komiksy, to nie jest w stanie ocenić oryginalnej twórczości, ale...

— Nieprawda! — Rena straciła nagle całą niepewność, poderwała się z krzesła, wzburzona, zaczerwieniona, ze łzami w oczach, ale pewna swych racji: — To jest książka o niczym, bez sensu,

bez żadnej treści... Literatury nie tworzy się wyłącznie przez udziwnienia formalne! A jeśli mego zdania nie uważa pan za miarodajne, to ma pan przecież recenzję pana Pietraszka...

— Pietraszek! Oczywiście! Przecież to jasne, że on zharatał książkę, by udowodnić, że tylko pod ich rządami mogliśmy pisać dobrze, że bez nich nic nie umiemy!

— Pan świetnie wie, że tak nie jest! Pietraszek nawet i w dawnych czasach był jednym z najbardziej obiektywnych Krytyków...

— Obiektywny! Akurat! Wszyscy Krytycy są skompromitowani, nie ma żadnych wyjątków! Powinniśmy ich byli powyrzucać z Koncernu! Nie możemy im ufać — Autorzy niech nawzajem recenzują swoje książki... Zastanawiałem się już, jak się to wszystko skończy, gdy drzwi huknęły znowu, wpadł Tomek Smuga, czerwony, wściekły, wymachujący rękami; nigdy go jeszcze takim nie widziałem.

— Ja tak nie mogę pracować! To nie do wytrzymania! — krzyczał. — Ludwik Korecki, wiesz, ten wysoki, czarny, z Sekcji Poetyckiej... Urznął się w samo południe i nie daje pracować! Łazi po wszystkich sekcjach... Powiedz mu, Piotr...

Tym razem diabli mnie wzięli:

— Dlaczego ja? A ty sam to nie możesz?

— Próbowałem, ale on mi powiedział, że mam go pocałować... Że skończył się zamordyzm, panuje era swobody twórczej i nikt nie będzie wyznaczał mu, kiedy ma pracować, a kiedy pić i że alkohol jest mu potrzebny, żeby mógł tworzyć, więc to jego urzędnie należy potraktować jako skorzystanie z Systemu Inspiracji Autorskiej...

Poczułem nagle, że mam ich wszystkich dość; nogi ugięły się pode mną, usiadłem, miałem ochotę objąć rękami głowę, ale na szczęście zdołałem powstrzymać się od tego. Spytałem prawie z jękiem:

— Dlaczego wy, do wielkiej i niespodziewanej erraty, przychodzicie z tym do mnie? Dlaczego właśnie do mnie? Tomek wytrzeszczył oczy, zatkało go na chwilę, ale zaraz odzyskał pewność siebie:

— No... jak to? Przecież siedzisz w tym gabinecie... Ktoś musi koordynować. Zatrzęśło mnie, naprawdę.

— Co ma do tego gabinet? Nie prosiłem, żebyście mi go przydzielali! Koordynować! Wybraliśmy Radę Autorsko-Redaktorską, tak? Zbiera się raz na tydzień. Ma rozstrzygać wszystkie problemy Koncernu, prawda? Nie możecie iść do niej?

— Może masz rację... Ale, widzisz, my przywykliśmy, że...

Nie słuchałem dalej, zerwałem się z fotela — nic mnie nie obchodziło, byłem po prostu wściekły. Rzuciłem się i zacząłem wypychać ich za drzwi. Złość dodała mi siły i chociaż ja byłem jeden, a ich troje, wypchnąłem ich nareszcie, nie zważając na oburzone protesty, i zatrzasnąłem drzwi. Chwiejnym krokiem wróciłem do mego biurka, usiadłem — tym razem mogłem pozwolić sobie na luksus ubycia głowy w dłoniach.

Coś było złe — i nie wiedziałem dlaczego, nie rozumiałem przyczyn nagłego rozprężenia. Osiągnęliśmy więcej, niż można było marzyć, wyzwoliliśmy się spod mszczącego, zmieniającego nas w tłum zastraszonego i ogłupiałych zwierząt systemu — dlaczego więc nic nie szło, jak powinno, dlaczego wciąż wybuchały kłótnie, rodziły się bezsensowne niesnaski? Trudności organizacyjne można było wyjaśniać cichą zмовą większości krytyków, którzy — pozornie godząc się z obecnym stanem rzeczy — działali jednak nierzadko w sposób zmierzający do udowodnienia nam naszej indolencji w zarządzaniu organizmem tak skomplikowanym jak Końcem, ale co mogło być przyczyną niezdrowej atmosfery, napięć, zniechęcenia? Marazm ogarniał coraz większe grono Autorów, szukano przed nim ucieczki w bezsensownych ekscesach...

Podniosłem głowę słysząc znów dobijanie się do moich drzwi. Skuliłem się za biurkiem — nie poruszając się, starając nie oddychać. Może zrezygnują i pójdą, a ja będę mógł znów zabrać się do pracy i zapomnieć o codziennych kłopotach. Dobijanie się przeszło w rytmiczny łoskot, tak nie mógł stukać jeden czy też dwóch ludzi; była to duża grupa. Usłyszałem szuranie stóp, głosy — wzburzone, domagające się kategorycznie wpuszczenia ich do środka.

Otworzyłem. W pierwszej chwili wydało mi się, że jest ich kilkunastu, dopiero kiedy zaczęli wchodzić, zorientowałem się, że musi być znacznie więcej. Byli to Autorzy ze wszystkich niemal sekcji — dawny gabinet Naczelnego Krytyka nie mógł pomieścić tego tłumu; był już pełen, a w drzwiach wciąż jeszcze widziałem nowe głowy — ci, którzy się nie zmieścili, usiłowali coś dojrzeć wspinając się na palce. Milczałem — oni też jeszcze nie zaczęli mówić. Wreszcie ktoś kaszlnął, ktoś inny się poruszył; zobaczyłem występujących do przodu Romana Wójcickiego, Mariana Renkla z Sekcji Literatury Faktu i trzeciego Autora, chyba poetę, znanego mi z widzenia; tych trzech sprawiało wrażenie delegacji, mającej mówić w imieniu pozostałych.

— Chcemy rozmawiać o sytuacji w Koncernie — zaczął sztywno i oficjalnie Renkel. Obejrzał się do tyłu, chrząknął, nabrał pewności siebie. — Chodzi o to — mówił już innym tonem — że nie wszystko wygląda tak różowo, jak się spodziewaliśmy. Robi się coraz większy bałagan, coraz trudniej pracować. Powiesz może, jak już mówiłeś nieraz, że to się musi ułożyć; przejęliśmy Końcem z całym jego dotychczasowym systemem organizacyjnym, który musimy zmieniać, dostosowywać do nowych metod działania, nowych potrzeb — przez pewien czas musimy więc uczyć się na własnych błędach, zanim wszystko się dotrze, zanim zdołamy Końcem przeorganizować. Może; tu nie będę się spierał, to nie jest rzecz najważniejsza, choć niejednemu z nas obrzydła już ta stała dezorganizacja: System Inspiracji nawala, w Sekcji Pomocy Twórczych stale brak czegoś: to najnowszych kaset bibliograficznych, to znów kryształów leksykonowych... Nawet przydziałowej kawy godzinami nie można się doprosić. Ale to, jak wspominałem, nie jest takie ważne...

— Jak to — nieważne? Spróbuj napisać biografię bez kaset faktograficznych — krzyknął ktoś, pewnie z Sekcji Literatury Historycznej, ale go uciszono i Marian mówił dalej:

— ...najważniejsze jest to, że produkcja Koncernu spadła zastraszająco w ciągu tego kwartału — z raportów Sekcji Analiz wynika to niezbitcie. Produkcję seriali i komiksów zastopowaliśmy już na samym początku. W to miejsce miały przyjść książki drukowane w masowych nakładach. Tych książek nie ma. Po prostu — nie ma. Z planowanych czterdziestu sześciu wpłynęły tylko dwie. Wydanie dwóch pozycji, nawet w największych możliwych do rozprowadzenia nakładach, nie pokryje wydatków Koncernu za ten kwartał; możemy znaleźć się w takiej sytuacji, że nie tylko nie zdołamy spłacić naszych zadłużeń bankowych, które w ostateczności można by prolongować, ale że nie będziemy w stanie zatrudnionym w Koncernie wypłacić ich poborów...

— Co ja, do licha, mam z tym wszystkim wspólnego? — zdołałem wtrącić.

— Aby utrzymać Koncern, trzeba wydawać książki, musimy więc je pisać. Ale to nie wychodzi. Brak nam tematów. Bodźców. Systemu, który od lat wdrażał do pracy. Przyjęty teraz — pełnej wolności twórczej — nie zdaje egzaminu. Zaczynij koordynować...

— Ja?!

— Tak, ty. Ktoś musi. Nie potrafimy poradzić sobie sami. Nie wiemy, o czym pisać. Brak nam wytycznych. Nie ma nikogo, kto — w czasie pisania — mógłby doradzić, skontrolować, czy podjęte tematy rozwijamy właściwie... Jeszcze nie mogłem uwierzyć własnym uszom: gdzie podziały się hasła, pod którymi walczyliśmy niedawno? To, czego oni się domagali...

— Czy ty rozumiesz, do czego to wszystko zmierza? Chcecie tego, co było. Czy po to wyrzucaliśmy Krytyków?

— Im nie mogliśmy wierzyć. Tobie i innym, których my wybierzemy — tak.

— Oszaleliście! Przecież to powrót do dawnego systemu. Pisania pod dyktando. Co z tego, że dyktować wam będzie kto inny? To koniec nieskrępowanej, niezależnej myśli...

— W imię swobody twórczej nie zamierzamy zdychać z głodu!

— Brak nam pomysłów! Obaliłeś Krytyków, to teraz ty je wyznaczaj!

— Podaj tematy!

— Potrzebujemy inspiracji! Nadzoru! Nie potrafimy sami!

— Zaczynj koordynować!

Cofnąłem się pod ścianę; oszołomiony, patrzyłem na twarze otaczających mnie ludzi, na skłębiony przed moim biurkiem tłum. Widziałem otwarte usta, błyszczące oczy, zaczerwienione twarze; od czasu do czasu wyciągała się w moim kierunku czyjaś ręka.

— Zaczynj koordynować!

Miałem uczucie, że cały osiemnastopiętrowy gmach Koncernu wali mi się na głowę. Jeszcze przed trzema miesiącami ci sami ludzie...

— Podaj tematy!

— Przywrócić naświetlanie aktywizujące!

— Potrzebna nam inspiracja!

— Zaczynj koordynować!

Ogarnęła mnie rozpacz. Próbowałem coś mówić — sam nie wiem co; zresztą i tak nie dali mi dojść do głosu. Zacząłem szukać oczami w tłumie Anki, Krzysia, Andrzeja Tygrysowicza — kogoś, kto — tak jak wtedy, w sali narad Koncernu — mógłby mi przyjść z pomocą. Ale ich tu nie było. Rozognione twarze otaczały mnie coraz ciaśniejším kręgiem; napierali na biurko. Wrzask robił się większy, powoli zaczęły wyłaniać się z niego dwa słowa, teraz już skandowane przez wszystkich:

— Zacz–nij ko–or–dy–no–wać!

Wszystko, co mógłbym powiedzieć, byłoby powiedziane na próżno. Za długo byli w trybach Koncernu, zbyt dokładnie, przez lata, mełł ich jego system. Pozostawało mi tylko mieć nadzieję, że przynajmniej część z nas... Bo gdyby myśleli tak wszyscy... Oznaczałoby to, że nasze uczucia, mózgi, zostały raz na zawsze ukształtowane, że nie potrafimy myśleć inaczej, niż nas nauczono. Że już nie umiemy być wolni. A to byłby koniec.